**Nr. 23.** Warszawa, dnia 27 Maja (9 Czerwca) 1900 r. **Rok XX.**

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
**W Warszawie**: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

***Adres: Sadowa Nr. 7.***

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują**: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po **kop. 10** za wiersz lub jego miejsce.



## 500

*W ubiegłym tygodniu Uniwersytet Jagielloński w Krakowie obchodził 500 rocznicę swego istnienia i działalności naukowej. Pięć wieków życia budzi dla niego szacunek; długi szereg świateł, które płynęły w tej sędziwej latarni, złożył się na jego zasługę w historyi, która zmniejszonym obrębem jego wpływu w teraźniejszości nie uszczupli jego szerokiego znaczenia w przeszłości i zaliczać go będzie zawsze do pierwszorzędnych czynników ogólnej kultury. Należy on, jak geniusze, jak wielkie pomniki społeczne, do tych sił, które dowieść mogą udziału polskiego w powszechnym rozwoju cywilizacyi. A chociażby zwiędłe jego wawrzyny były wspanialsze od świeżych, ma on niezaprzeczone prawo do wdzięczności u swoich i uznania u obcych.*

## POLITYKA.

### Stronnictwa w Belgii.

O sile stronnictw w krajach stanowią nietylko liczby ich towarzyszów, wprowadzanych do wszelkich ciał publicznych, a głównie Izb prawod. ale również, i w ścisłym z poprzedniemi związku, liczby głosów, które bez powodzenia i z powodzeniem każde stronnictwo na wyborach do odpowiedniego ciała z siebie wydaje. Tylko z połączenia obu tych kategoryj liczb można powziąć dokładne pojęcie o sile liczebnej stronnictw, walkami swemi życie dziejowe wewnętrzne wypełniających — tak dalece wypełniających, że jak polityka, tak literatura i sztuka, i sam nawet przemysł, objawiają dążność, coraz wybitniejszą, do różniczkowania się wewnętrznego na zasadzie stronniczości politycznej. Dla ocenienia siły stronnictw belgijskich, o ile ona w d. 27 z. m. na wyborach do obu Izb prawodawczych, Izby Repr. w zupełności, Senatu w części, się ujawniła — nie mamy jeszcze liczb głosów złożonych przez wyborców pojedynczych zrzeszeń; sam jednak stosunek liczbowy wybranych w związku z ujawnionemi dążnościami i programatami dostarcza tak zajmującego a ważnego zasobu, że w chwili, kiedy sprawa jest tak jeszcze gorącą — zajęcie nią czytelników nie będzie publicystyczną zdrożnością.

Powtórzyć tu potrzeba, co już powiedziano, że wybory, choć nie zupełnie, ale w każdym razie rzetelnie, usprawiedliwiły nadzieje stronnictw postępowych i krańcowych. Po kilkunastu latach Belgia pierwszy raz ma znowu Izbę, w której dawna liczba przedstawicieli stronnictwa katolickiego, klerykalnego, stu kilku do stu trzynastu, nagle spadła pod 90. Kilkanaście lat panowania klerykalnego wystarczyło do ogromnego wzmożenia się stronnictwa socyalistycznego. Zamiast dziesięciu ma ono obecnie trzydziestu trzech przedstawicieli. Stronnictwo liberalne nie powetowało jeszcze strat poniesionych przez gwałtowny zalew klerykalny, i nie powetuje ich już nigdy; co miało być bowiem liberalnem, stało się już, lub stawać będzie, radykalnem, postępowem, albo socyalistycznem. Prąd biegnący spodem i, pomimo falowania wprost przeciwnej woli politycznej na powierzchni wciąż rosnący, wyrokuje o przyszłości Belgii. Naród ten leci do krańcowości polityczno-społecznej, a równolegle z linią tego lotu rozwija się inna, po której postępuje reakcya narodowa Niderlandczyków, Flamandczyków przeciwko Francuzom i Wallonom. Dziś już Bruksella jest miastem urzędownie flamandzkiem, a urzędy w całym kraju, o ile stykają się z publicznością, obowiązane są używać obu mów: flamandzkiej i francuskiej.

Radykalizm zatem na jednej widowni życia – w państwie, jako zasada żywa przeciwstawiania się i walki stronnictw ogarnął i widownie inne: życia municypalnego, narodowego: wkroczył nawet na ciche pola literatury i sztuki, gdzie niema już ani konstytucyi złej czy dobrej, ani praw, całkiem lichych lub jako tako przykrojonych do stanu, ani policyanta, pod wszelką postacią strzegącego, nie prawdy i dobra, ale pozoru i przepisu. Niema społeczeństwa w Europie, któreby się tak szybko zmieniało, tak szybko szło do nowych przeznaczeń i nowych ukształtowań cząsteczkowych i syntetycznych, nadających już ogólną postać nazewnątrz — jak belgijskie za dni naszych. Wyrażenie „la-

boratoryum polityczno-społeczne" nie jest bynajmniej dźwiękiem, przenośnią literacką, postacią myśli w piszącym, ale jest rzeczywistością najzupełniejszą w świecie zjawisk zewnętrznych. Jeżeli z tym rozwijającym się postępem ku krańcom złączymy cały ruch humanitarny, pozytywnie altruistyczny, zwrócony na oświatę, podnoszący masy ludowe i wpół-ludowe na wyżyny, już nie elementarza i podpisu własnoręcznego na akcie u regenta, ale istotnej, rzetelnej wiedzy o świecie, naturze, człowieku i społeczeństwie — będziemy musieli przyznać małemu, o pół tysiącu (529) mil geogr. kraikowi, mającemu zaledwie 70 lat istnienia państwowego, zaszczyt przodowania ludzkości europejskiej.

Stronnictw ma Belgia sześć: klerykalne czyste, które za kanwę dla życia społeczno-politycznego daje religię, za najwyższy órgan społeczny uważa księdza, za najważniejszą funkcyę publiczną obrządek w kościele a ciągłe wglądanie w duszę po za kościołem. Dla tego stronnictwa wojsko powinno być wolnozaciężnem, szkoła najściślej wyznaniową, książka podawana ludowi podręcznikiem pobożności i moralności, wiedza poddaną pod cenzurę religii. Stronnictwo liberalne — niegdyś jedyny przeciwnik klerykalizmu, chwytający go za bary — wydzieliło z siebie radykalnych postępowców, którzy chcą szkoły wolnej, reform prawodawczych na polu społecznem, na wzór niemieckich, głosowania powszechnego i współdziałania z socyalistami; ono samo nie ma już własnej przyszłości, chyba ministeryalną, przejściową: namyśla się jeszcze nad socyalizmem państwowym, niemieckim, lęka się jego strony finansowej, lęka się podatków, któreby wzrosnąć musiały, lęka się głosowania powszechnego, bo nie chce socyalizmu. Obok tych trzech stronnictw dawnego autoramentu, których zarody były już przed r. 1870, po pamiętnym dla ludzkości europejskiej r. 1871 powstało stronnictwo socyalistyczne, z programem, któremu w zakresie ustroju państwowego dał wyraz Vanderwelde w z. 1894, gdy w Izbie przedstawicieli nazwał monarchię w Belgii machiną nieużyteczną a kosztowną; programatem jego społeczno-ekonomicznym jest kolektywizm. Ze stronnictwa katolickiego pod działaniem socyalizmu wydzieliły się socyalizm chrześciański, który nie usprawiedliwił powziętych o nim na razie nadziei, i stronnictwo „niepodległych" (katolików), które wcale jeszcze żadnych nadziei obudzić nie zdołało. Na bojowisku stoją trzej wielcy szermierze, między którymi rozgrywa się walka i zwycięztwo, gdy mniejsi tylko plączą im się pod nogami. Rzeczywiście walczą dla przyszłości i o przyszłość klerykalni, postępowi i socyaliści.

---

**Tydzień polityczny**. Johannesburg poddał się d. 30 z. m. Do Pretoryi przednie straże angielskie weszły d. 1 czerwca: Boerowie opierali się, ale już po zajęciu, w okolicy, zabrali nawet batalion angielski do niewoli. Rząd transwalski rozbity, wojsko cofa się na północo-wschód, ku Lydenburgowi, Krüger z niem. Niezupełne jeszcze rozbicie wojskowe, ale wojna już dogorywa. Z Natalu jeszcze Buller nie wyruszył, ma przeciwko sobie Boerów. D. 30 z. m. w Bloemfontein ogłosił rząd angielski przyłączenie rzeczypospolitej orańskiej do Anglii.

We Włoszech wybory d. 3 b. m. po rozwiązaniu Izby w maju wydały 330 rządowych, 95 opozycyi konstytucyjnej, 85 radykalnej.

We Francyi Gallifet podał się do dymisyi; następcą Andre.

W dniu 6 b. m. zebrała się Rada państwa w Wiedniu. Czesi trwają przy tamowaniu obrad. Rząd ma wprowadzić prawo o języku na mocy § 14. Pacak zaklinał cesarza, aby na to nie pozwalał.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### CIEKAWA PRÓBA.

W różnych pismach petersburskich i moskiewskich spotykamy ostatnimi czasy wiadomość o zapoczątkowanej przez włościan pewnej wsi gub. Nowogrodzkiej, działalności społecznej. W październiku r. z. włościanin ze wsi Małe Świetice, pow. Borowieckiego, Michajłów, wytłomaczył na zgromadzeniu wioskowem swoim sąsiadom, że, pracując dalej w ten sam sposób i w tym samym kierunku, co obecnie, nie wyjdą nigdy z błędnego koła rozczarowań i nieurodzaju. Natomiast jest jedno wyjście z tego kręgu piekielnego: współdzielcza organizacya pracy rolniczej. Należy stworzyć stowarzyszenie „Pomoc wzajemna" i wystarać się o urzędowo zatwierdzenie nowego artelu. Podanie oparło się o gubernatora, który nietylko zainteresował się nową próbą organizacyi pracy, ale przyobiecał pomoc osobistą w stolicy gubernii i u władz centralnych, a także w bankach petersburskich.

Przedewszystkiem postanowiono przenieść wieś całą — cała bowiem wieś (50 domów, 308 dusz) przystąpiła do umowy — w inne, lepsze miejsce. Domy będą murowane z cegły, wyrabianej na miejscu we wspólnej cegielni wodnej. Jak tylko jednak cegielnia będzie gotowa, przystąpią włościanie do wzniesienia wspólnej obory, z kotłem do ogrzewania wody i składami na karm i masło, które zamierzają wyrabiać na wielką skalę. Następnie zbudują wspólną stajnię, kuchnię z jadalnią, sklep, kąpiel, piekarnię. Zamiast dawnej „sochy" wprowadzają nowoczesne pługi i zastosowują płodozmian ośmiopolowy. Woda będzie poruszała wspólną młocarnię. Za wsią znajdzie się miejsce na szkołę rolniczą dla dzieci włościańskich płci obojga, oraz na doświadczalne pola, ogród owocowy i warzywny, pasiekę, stacyę meteorologiczną i oborę próbną. Z czasem mają przybyć: garbarnia, smolarnia, warsztaty tkackie i olejarnia. Również założone zostaną przy spodziewanym współudziale włościan sąsiednich: ślusarnia, zakłady stolarski, rymarski, szwalnia i kuźnia. Obecnie wieś nie zajmuje się wcale pracą rzemieślniczą: zamierzono tedy wprowadzić ulepszoną samoprząśnicę dla produkcyi wyrobów lnianych. Nie trzeba dodawać, że gospodarstwo mleczne obejmie separatory i centryfugę. W ten sposób powstać ma — mówiąc językiem Owsińskiego — „organizm ekonomiczny." Z lnu otrzyma się włókna, z włókien samoprząśnica stworzy przędzę; z tej znowu na warsztatach tkackich urobi się płótno. Siemię lniane trafi do olejarni, skąd wróci w postaci makuchów, owych „oborowych marcepanów," a przedewszystkiem — ole-

---

# W ojczyznie Boerów.

IV.

Do złotych pól Witwatersrandu jedzie się przez Lourenço Marques, miasteczko tak nazwane od imienia kapitana portugalskiego, który zbadał okolicę w r. 1544 (Vasca da Gama był tu już 1502). Miasto jest niezdrowe, okolica malaryczna, porządki miejskie—portugalskie. Punkt nie tylko pod względem strategicznym, ale i handlowym niezmiernie ważny; niedarmo Anglia od wielu już lat starała się ograbić Portugalię z zatoki Delagoa, nad którą miasto leży. Z chwilą, kiedy portugalczycy, przynagleni potrzebą, ustąpili przed wszechmożnym sąsiadem, miasto bezsprzecznie rozwijać się zaczyna. Kiedy mowa o Lourenço Marques, należy wspomnieć również o stolicy Natalu, Durbanie, która odznacza się nietylko swoim handlem, ale i polityką wewnętrzną zarządu miejskiego. W Anglii wskazują niekiedy na Durban, jako na hasło przyszłości. Zarząd miasta, bowiem, pragnąc, aby miasto rozwijało się według pewnego z góry ułożonego i celowego planu, zakupiło ziemie w okolicy starego miasta się znajdujące, zaprowadziło tam wszelkie możliwe ulepszenia hygieniczne i odprzedaje i oddzierżawia parcele zamożniejszym mieszkańcom, którzy sobie tam budują wille. Zyski otrzymywane z tego źródła pozwoliły na znaczne zmniejszenie podatków miejskich, oraz na przeprowadzenie różnorakich reform w zakresie spraw samorządu.

Natal, jako kolonia angielska, zdobył sobie najpóźniej samorząd (1893). Rządy sprawują: gabinet, liczący 5 ministrów, dwie izby, jedno „zgromadzenie" (37 członków) i „rada" (11 człon.). Dwie pierwsze organizacye wybierane są na 4, członkowie dwu drugich mianowani bywają przez gubernatora na 10 lat. Dotychczas niema właściwego życia politycznego, partyjnego: wszyscy biali mieszkańcy Natalu żądali zgodnie, aby tubylców kafrów i przybyszów indusów nie dopuścić do urny wyborczej. Życie płynie w cichej materyalnej pracy. Mieszkańcy zajmują się hodowlą bydła, rolnictwem zaś w małym tylko stopniu (zaledwie $^1/_{40}$ część ziemi znajduje się pod pługiem, pracują na roli wyłącznie tylko czarni). U wybrzeży duże dochody daje trzcina cukrowa, a od niedawna uprawiają herbatę.

Europejczyków liczą w Natalu zaledwie 50 tysięcy, co wobec ilości kafrów (460,000) jest cyfrą niezmiernie małą, nic dziwnego, że czują wobec tubylców pewien niepokój i że niechętnie patrzą na zasadę równouprawnienia. Gubernator ma wprawdzie prawo udzielania prawa wyborczego kafrom, o ile ci siedem lat żyją pod prawem europejskiem; takie wypadki atoli są niezmiernie rzadkie. Indusi (50 tys.) dzielą się na dwie grupy. Z jednej strony *kulisowie*, sprowadzani z Indyi gwoli pracy na plantacyach cukrowych. Po upływie kontraktu wracają do domu, albo osiadają po wioskach i zajmują się ogrodnictwem albo rzemiosłem. Druga klasa składa się z inteligentnych, zamożniejszych, t. zw. „Arabów," tj. mahometan z dawien dawna osiadłych w Bombaju, a także z Zanzibaru. Zajmują się drobnym handlem i ześrodkowali w swoich rękach cały wogóle handel z negrami. W dużej części są oni bardzo zamożni. Są przedmiotem powszechnej nienawiści i ograniczenia praw wyborczych mają ich przedewszystkiem na względzie. W r. 1897 wydane prawo głosi, że z wyjątkiem Europejczyków pozbawieni są prawa wyborczego wszyscy ci mieszkańcy Natalu, którzy są albo tubylcami, albo po mieczu pochodzą od tubylców, albo też przywędrowali z takich krajów, gdzie niema jeszcze urządzeń parlamentarnych. Jak zaznaczyliśmy wyżej, guberna-

ju. I tę samą drogę, co len, przebiegnie każdy inny surowy produkt wiejski. Dotychczas każda faza tej produkcyi żywiła specyalnego pośrednika i musiała skutkiem tego dawać specyalne w każdym wypadku zyski. Jeden pośrednik sprzedawał włókna, drugi przędzę, trzeci płótno, czwarty makuchy, piąty olej itd. Wszystkie te ogniwa przestają istnieć i zyski, które odrzucało każde, pozostają w kasie artelu. Pośrednik przestaje istnieć. Kwadratura koła zostaje rozwiązaną..

Oczywiście, że myśl Michajłowa sięga dalej. Zamierza on naturalnym węzłem połączyć wytwórcę ze spożywcą. Jego wioszczyna leży w połowie drogi z Petersburga do Moskwy, może tedy liczyć na to, że w każdej chwili mieć będzie odbiorców na wszelką ilość wyprodukowanego towaru. Dobrzy ludzie pomogą i obejdzie się w stolicach bez udziału faktorów. Próba może się udać.

Buchalterya całej tej organizacyi będzie oczywiście bardzo złożona. Ale jakże to będzie z wypłatą wynagrodzenia i ryzykiem udziałowców? Michajłow projektuje, aby zyski dzielić w stosunku prostym do wyłożonej pracy, tj. do ilości dni pracy w roku. Czysty dochód dzieli się przez ilość dni ofiarowanych przez wszystkich razem wziętych „artelszczyków,“ a suma otrzymana odpowiadać będzie zyskowi przypadającemu dla każdego dnia roboczego. Każdy dział pracy posiadać będzie swojego dozorcę, „dziesiętnika,“ który zawiadamia pisarza codziennie, kto do pracy stanął. Niema pracy przymusowej: kto pracuje więcej, otrzyma większe wynagrodzenie. Względem leniwych zastosuje się „odejmowanie,“ bardziej pilni otrzymują wynagrodzenie i podarunki na święta. Dzieci do lat 17 nie pracują za opłatą: uczyć się będą rolnictwa, albo rzemiosł. W czasie pilnych robót w polu (żniwa, kopanie) każdy wyrostek pracuje darmo, spłacając wsi dług, który zaciągnął, będąc chowanym z jej funduszów.

Na wychowanie dzieci zamierzył Michajłow zwrócić szczególną uwagę: chciałby on z nich stworzyć nowe, doskonalsze społeczeństwo, oddanych sprawie towarzyszów i przewodników. Dlatego też otrzymają zarówno teoretyczne, jak i praktyczne wykształcenie w promieniu potrzeb i zakresu przyszłych ich zatrudnień wiejskich.

Że zaś nie jednym tylko chlebem się żyje, tedy artel będzie posiadał czytelnię i bibliotekę.

Do uchwał wiejskich, z których wyłonił się powyżej streszczony projekt, dopisał Michajłow swoje wyznanie wiary, swoją własną autobiografię. Od 13 do 23 roku życia pracował na wsi jako syn gospodarski. „Przyszedłem jednak do przekonania, że u nas we wsi gospodarstwo się źle prowadzi i chciałem przyjrzeć się, czy w innych stronach ludzie więcej mają rozumu. Obszedłem w przeciągu trzech lat 14 gubernij, wszędzie skrzętnie rozpytując włościan o ich porządki. Ostateczny rezultat wędrówki był ten, że dobrego gospodarstwa niema. Następne trzy lata spędziłem w klasztorze Wałaamskim i tam uświadomiłem sobie dobrze, co to jest walka człowieka z przyrodą. Wreszcie w r. 1892 przyjechałem do Petersburga i zapoznałem się z życiem miasta. I oto uważam, że jestem dostatecznie przygotowany do spełnienia zadania, jakie przedsięwziąłem. Trzy zasadnicze myśli chcę urzeczywistnić, a nasze doświadczenie niechaj przyda się nietylko ludności naszej wsi, ale całemu cesarstwu rosyjskiemu: 1) Wieś zbudujemy według zupełnie nowego planu; w żadnym wypadku nie powinna się spalić, a jeśli pożar wybuchnie, to pożre tylko jeden dom; dalej, nie powinno być we wsi błota ulicznego, które budzi niechęć do pracy na roli i często jest doskonałym przewodnikiem chorób zaraźliwych. 2) Jeżeli stworzymy wspólną jadalnię, to dzieci będą mogły chować się oddzielnie od rodziców i dorosłych i otrzymają wychowanie bardziej uszlachetniające; niezależnie od nauki czytania i pisania będziemy je uczyć wszystkich nauk, które obejmuje agronomia i które odpowiadają potrzebom najbardziej szczegółowym życia wiejskiego. Jeżeli zapłacimy nauczycielowi agronomowi 600 rb. rocznie, a dzięki jego pomocy zyskamy nadwyżki na kilka tysięcy rubli, to chyba straty nie poniesiemy żadnej. 3) Jeżeli złączymy dla wspólnej pracy 300 ludzi pracujących, to będzie można urządzić wiejski lazaret z apteką i książkami lekarskiemi. Wogóle — kończy Michajłow — będzie można dokonać wiele innych jeszcze dobrych rzeczy...“

Przytoczyliśmy umyślnie główniejsze ustępy z wypracowania p. Michajłowa, aby dać odczuć, że to samorodny filozof społeczny i urodzony organizator. Wieje z tych nie po literacku cyzelowanych zdań jakaś prostota, naiwność i szczerość. Tylko że ta naiwność jest przemyślana, a szczerość nie ma w sobie nic z gestu komedyantów społecznych. Sądząc z własnych jego słów, Michajłow liczyć musi w chwili obecnej około 40 lat, jest tedy w pełni sił męzkich, zahartowanych w wieloletniej wędrówce po cierniach życia wiejskiego. Teoretycznie oczywiście nie można nic zarzucić jego planom. Toć „organizacya pracy“ na zasadach sprawiedliwości i wymazania „pośrednictwa“ jako wyspecyalizowanej, zindywidualizowanej instytucyi z obrazu bytowania ekonomicznego społeczeństwa — to wiekuisty sen wszystkich reformatorów. Inna rzecz atoli z praktycznem urzeczywistnieniem tych rojeń. Nietylko w obrazie europejskich i amerykańskich wysiłków w różnym czasie przez filantropów i ideologów dokonywanych, ale i w granicach samej Rosyi, nie jest wyprawa Michajłowa po złote jabłka Hesperyd jakąś nową plamą. Stare to już rzeczy, a ile pochłonęły iluzyj, ile urodziły rozczarowań! Sam Michajłow przyznaje się, że wiele skorzystał i zapożyczył z wzorów umów artelowych Łowitzkiego, adwokata chersońskiego, który w swej okolicy na tę modłę zaczął organizować włościan przed kilku laty. Materyały, jakimi rozporządzamy, nie pozwalają na wyprowadzenie jakichkolwiekbądź wniosków ostatecznych: tu „artel“ udał się, tam rzeczywistość wyśmiała się z nadziei. Różnego autoramentu publicyści rosyjscy różne o błogostanie tych nowych „organizmów“ wydawali sądy. Tylko czas przekonać może namacalnie, ostatecznie. A dziś tę odpowiedź dać trudno dlatego przedewszystkiem, że wieś współczesna pod Chersoniem, czy pod Nowgorodem, nie przedstawia, jak niegdyś, jednolitego obrazu. I tu zakwitły bujnie chwasty antagonizmów społecznych. Włókowy gospodarz, bogaty handlarz i lichwiarz wiejski, sześciomorgowy włościanin aż do bobyla i najemnika, oto są typy, które tylko dowolność administracyjna i tradycya związać może łańcuchem jednego pochodzenia, jednego „stanu.“ Nie łączy się zaś woda z oliwą.

A może się i łączy. Niewiele trzeba umieć chemii, aby zrozumieć, co wodę z oliwą połączyć może.

Po za tem plan Michajłowa ma jedną wadę zasadniczą. Oto, rzecz jasna, że wszystkie jego projekty od najdrobniejszych do najbardziej złożonych wymagają znacznego kapitału. Ten oto kapitał ma być wypożyczony. Zaczynamy tedy żyć po staremu: długi, procenty, lichwiarze nazewnątrz, a wewnątrz: swary, kłótnie, rozprzężenie, zniechęcenie. Zewsząd rozwie-

---

tor może jednak w oddzielnych wypadkach czynić wyjątki na rzecz pewnych jednostek. Inne prawo z r. 1897 określa bliżej te wyjątki, a mianowicie „gubernatorowi wolno nie dopuszczać imigrantów z wyjątkiem tych, którzy potrafią literami europejskiemi skreślić do niego list, w którym proszą o zwolnienie od skutków tego prawa.“

Posuwając się w głąb kraju, podróżny napotyka dwa punkty o historycznem znaczeniu: Laings Nek i Majuba Hill. Pierwszy, to 300 stóp wysoka skała. Za nią rozpoczyna się główna droga, prowadząca z Natalu do Transwalu. Kiedy w grudniu 1880 r. wojska angielskie wyruszały z Natalu dla pacyfikacyi Transwalu, który znowu za broń chwycił, musiały — dla braku kolei — obrać tę drogę. Boerowie w liczbie tysiąca osaczyli skałę po drugiej stronie i roznieśli wojsko angielskie, pnące się po stromej, kamiennej ścieżce w górę. Strzały Boerów, skierowane do celu leżącego pod nimi, zgotowały wielką ucztę sępom. Kilka tygodni później (26 lutego 1881 r.) powtórzyli Anglicy atak trochę dalej na górze Majuba Hill (900 stóp), gdzie nie umieli wyzyskać swego stanowiska i sromotnie pokonani zostali. Zginęło ich 92, naliczono 134 ranionych, do niewoli wzięto 59: straty Boerów wynosiły: 1 zabity, 5 ranionych. Na wierzchołku Majuba Hill'u, w kotlinie, którą natura jak gdyby umyślnie między skałami wypłukała, usypano mogiłę dla biednych żołnierzy angielskich. „Miejsce milczenia i samotności, z wysokości przyglądające się dalekiej, łysej, brunatnej płaszczyźnie, ciągnącej się w nieskończoność na wschód, zachód i południe, bez najmniejszego śladu życia ludzkiego. Trudno wyobrazić sobie miejsce, któreby w mniejszym stopniu nadawało się na widownię namiętności ludzkich, strachu i rozpaczy! A jednak ma ono swoją stronicę w historyi niezwykłych pól walki w czasach nowszych i wywiera dziś jeszcze silne wrażenie.“

W odległości 4—5 mil ang. za temi miejscami tryumfów w srtategii boerów zaczyna się granica Transwalu. Naga płaszczyzna, leżąca prawie wszędzie na wysokości 5,000 stóp nad poziomem morza, prawie że zupełnie pozbawiona ludzi, zabudowań i roślinności — takie wrażenie odbiera naprzód podróżny za kopcem granicznym Transwalu. Wrażenie to znika atoli w okolicach stacyi kolejowej Elandsfontein, gdzie wre życie przemysłowe. Zewsząd patrzą na podróżnego wysokie kominy, gromady rudy wyrzucanej z szacht i transportowanej do kotłów, wypłukujących jej cenną zawartość złotą. Po spokoju, w którym tonęła dotąd Afryka południowa, zanurza się podróżny odrazu w war i zgiełk piekielny przemysłowego miasta Anglii czy Ameryki północnej. Przed piętnastu laty nie było tu śladu siedzib ludzkich; Boer wysyłał tu stado swoje pod opieką małych murzynów i byłby szczęśliwy, gdyby mógł był sprzedać miejsce, na którem stoi dziś Johannesburg, za 100 funtów. Gdyby kopalnie te zostały odkryte sto lat wstecz, zapewne byłyby wnet porzucone, eksploatacya ich bowiem nie opłaciłaby się wtody wcale. Że dziś się opłaca, należy zawdzięczać metodom chemii, które pozwalają z dużym skutkiem wydobywać czyste złoto z takiej rudy, któraby się dawniejszym metodom nie poddała wcale. O postępach tych metod świadczy fakt, że podczas gdy koszt wydobycia złota z tonny rudy wynosił w 1892 r. 1 funt 15 szyl 6 pens., w r. 1898 wyniósł już tylko 1 f. 8 sz. 1 pens.; w tym samym czasie dywidenda od tonny z 8 sz. podniosła się do 13 sz. 2 p., a wydajność złota z 19 na 32%. Ogólna suma wypłaconej dywidendy urosła z 794,474 funt. (1892) do 4,847,505 f. (1898). Produkcya zwiększa się tedy z szaloną szybkością. Specyaliści inżenierowie obliczają, że kopalnie mogą być czynne 50—80 lat. Wartość złota, które można będzie wydobyć, oceniają na 700

rają się — dziś fikcyjne tylko— przepaści. I dlatego ten projekt czyni na nas ostatecznie wrażenie owych dzieci, co się z bielmem na oczach rodzą. Lekarz mówi: „głupstwo: niema dziś stanowczo bardziej łatwej, stanowczo bardziej pewnej operacyi." A jednak ileż to dzieci pomimo postępów chirurgii i okulistyki, po zdjęciu bielma, nie widzi? Tylko że nie zaraz się o tem przekonywamy, bo im tymczasem oczy nie potrzebne, a my sami mamy odwiecznie ludzkie bielmo na oczach — nadzieję.

*Tad. Kuch.*

## Z NIEMIEC

*Berlin, 4 czerwca.*

„Wielkie dni." — Epilog walki o *lex Heinze*.

Gdyby ktoś w dniu 23 maja był zajrzał do sali posiedzeń sejmu rzeszy, zostałby z pewnością uderzony panującą tam idyllą. Na stole prezydującego roztaczał uderzającą woń pyszny bukiet, sam przewodniczący od czasu do czasu zamykał oczy i zasypiał, mówca ględził o najobojętniejszych na świecie rzeczach, a trzydziestu kilku posłów zlekka ziewało, drzemało lub słuchało oparłszy się na łokciach, galerye świeciły pustkami, tylko jakiś przybysz z prowincyi, z zawieszoną przez szyję lornetką i buterbrodem w ręku rozparł się wygodnie w krześle. Większe nieco ożywienie panowało w bufecie: Konserwatyści przy szampańskiem, liberałowie przy prawdziwym angielskim porterze i radykałowie przy pilzeńskiem piwie gawędzili o różnych różnościach, a tak zwana „frakcya Schultzego" hałaśliwie grała w karty, słowem wszędzie niezmącona zgoda i spokój i nic absolutnie nie świadczyło o tem, że sejm rzeszy przeżył dopiero co burzę jedyną w dziejach niemieckiego parlamentaryzmu. Były to tak zwane „dni wielkie," wielkie naprzód dlatego, iż prawie całe grono poselskie, a więc trzysta kilkadziesiąt osób, było obecnem na posiedzeniach. Stawili się nietylko klakierzy i statyści, co od lat kilkunastu biją oklaski, sykają, kiwają głowami, chichocą i wołają „pfuj," „oho," „oha," „hu." Nietylko ci niezmordowani mówcy i wyznawcy ideałów, którzy jak opiewa odnośny zwrot parlamentarny „mówią przez okno" w mniemaniu, iż tam pod oknem tłum słucha ich słów z zapartym oddechem i roziskrzonemi oczyma; przyszli nietylko ci, którzy zabierają głos wyłącznie wtedy, gdy im się wydaje, że 5,000 lat spogląda na nich z wysokości piramid egipskich, ale zjawiła się zarazem owa niezliczona rzesza rzemieślników politycznych, co uprawia swój zawód od niechcenia bez iskry zapału, wprost dla braku czegoś lepszego. Były to wielkie dni jeszcze z innych powodów. Sejm rzeszy stał się widownią obstrukcyi, zorganizowanej dla udaremnienia zamachu na wolność sztuki. Dziwna rzecz: gdy przed laty kilkunastu za Bismarcka, narodowi liberałowie i zachowawcy uchwalili prawa majowe, nikomu obstrukcya na myśl nie przyszła, tylko obecny prezydent sejmu rzeszy, hrabia Ballestrem, energicznem „pfuj" zaprotestował przeciwko nikczemności gwałtu, poczem Bismarck porwał się na hrabiego z szablą. Gdy setki tysięcy niewinnej ludności skazano na tortury praw wyjątkowych, nikt nie pomyślał o obstrukcyi, nie odważono się na tę taktykę podczas licznych ustaw wojskowych, za to teraz, gdy schutzmann z batożkiem w ręku miał wypędzić nagich aniołków ze świątyni sztuki, obudził się duch bohaterski w piersiach posłów niemieckich. Teraz dopiero prawdopodobnie za przykładem kolegów austryackich i włoskich ośmielono się wyjść z szranków legalności. Nie uderzano w pulpity, gdyż ich w sejmie rzeszy niema, nie okładano się krzesłami, albowiem parlamentaryusze niemieccy zasiadają jak żacy w szkole na ławkach, nie kiereszowano sobie nosów, ponieważ takie rzeczy nazywają w Niemczech rewolucyą. Ale za to prezydent co chwila drżąc nerwowo i czerwony ze złości uderzał w swój dzwonek, za to posłowie kłócili się zawzięcie i zasypywali stół przewodniczącego wnioskami, za to odbywano posiedzenia kilkunastogodzinowe i dręczono się wzajemnie wszelkimi środkami taktyki parlamentarnej. Szło o to, aby nie dopuścić do trzeciego czytania ostatniego paragrafu *lex Heinze*. Ustawa ta zmieniała paragraf 180, 181, 184, 362 kodeksu karnego oraz wzbogacała prawodawstwo w paragrafy 181*a*, 184*a*, 184*b*. Cała ustawa z wyjątkiem paragrafu 362 została już przepuszczona przez sito debatów, a więc jeden krok tylko i nowa ustawa, zostałaby przesłaną Radzie Związkowej, która prawdopodobnie z niezwykłym pośpiechem tchnęłaby duszę w martwe ciało, aby otrzymać stosownie do potajemnie zawartej umowy okręty wojenne. Nadaremnie opozycya oglądała się na poparcie artystów i „związku Göthego." Artyści zdobywszy się na kilka manifestacyjnych zebrań powrócili do czarnej kawy i nieskończonych pogawędek o „Filozofii milczenia," a „Związek Göthego." składający się z szanujących się geheimratów po hałaśliwych narodzinach nie dawał wcale znaków życia. Tylko 14 profesorów prawa karnego pospieszyło na odsiecz opozycyi, ogłaszając protest przeciwko ustawie potwornie rozciągłej i mogącej otworzyć pole dla nadużyć. W tem położeniu opozycyi pozostawało jedyne wyjście — obstrukcya. Wprawdzie prasa, wychowująca publiczność w poszanowaniu dla istniejących praw, ostrzegała przed tem obosiecznem narzędziem. Przeszedłszy jednak raz Rubikon lewica musiała kroczyć dalej, przestrzegając jednak zwyczajów sejmu rzeszy. W tym celu wypracowała ona stos wniosków tak zręcznych i ścisłych, że wszystkie znajdowały miejsce w ramach porządku dziennego. Wszystkie one zmierzały do wykorzenienia w ten lub inny sposób rozpusty. Prawica pozornie powinna była być wdzięczną za tak gorliwą pomoc. Węsząc jednak podstęp w tym darze Danaów, postanowiła odciąć drogę lewicy. Z początku sam prezydujący — ultramontanin z krwi i kości — jął używać w tym celu forteli. Tak np. oddał wnioski do druku, a gdy przyszła na nie kolej, oświadczył, iż znajdują się jeszcze w drukarni. Gdy jednak i temu zaradzono, odrzucił niektóre wnioski, jako nie należące do rzeczy. Opozycya podniosła wrzawę i żądała zwołania „Zgromadzenia starszych" rozstrzygającego zwykle tego rodzaju sporne sprawy. Przewodniczący hr. Ballestrem nie uznał za stosowne uczynić zadość temu życzeniu. W dodatku większość uchwaliła, aby wszelkie wnioski dotyczące § 362 zostały dla braku czasu przyjęte lub odrzucone bez dyskusyi. Lewica napiętnowała tak samowolną decyzyę nazwą gwałtu i powołała się znowu na zwyczaj. Prawdopodobnie okrzyk ten nie znalazłby żadnego odgłosu w sejmie Rzeszy, gdyby sprawie nie nadał nowego zwrotu poseł konserwatywny, hr. Kardorff. Ten Filip z Konopi, nie owijając swej radości w bawełnę dyplomatyczną, w szale upojenia zawołał: „Wola większości stoi po nad porządkiem dziennym." Poczóż tu szemrać i apelować do poczucia sprawiedliwości? W walce istnieje jedno prawo — wola silniejszego!" Tu właśnie

---

milionów funtów, przyczem czysty zysk wynosić będzie około 200 milionów, a pozostałą sumę pochłoną koszty eksploatacyi. W r. 1896 wydobyto złota za 7,864,341 funt., w 1898 za 15,141,376 f., w pierwszych ośmiu miesiącach 1899 r. — za 12,485,032 funtów sterlingów. Jeżeli przyjąć, że przeciętnie rocznie otrzyma się złota za 15 mil. f., w takim razie kopalnie wyczerpane zostaną po upływie 46 lat. Rzeczpospolita południowo-afrykańska zajmuje dzisiaj pomiędzy krajami produkującymi złoto pierwsze miejsce (za nią idą: Ameryka, Australia, Rosya), ogólna suma otrzymanego złota wynosiła na kulii ziemskiej w 1898 r. 59,617,945 funt. ster.

W kopalniach Witwatersrandu najcięższą pracą zajęci są murzyni. W ogólnej sumie 88,000 zajętych w r. 1898 robotników było 65,000 Kafrów. Przeciętny zarobek murzyna wynosił w 1896 r. 37, w 1898 27,9 sz. Białych zajętych w kopalniach było 1896 r. zaledwie 5,430 (przeciętny zarobek miesięczny 24 f.), w 1898 r. — 9,476 (przeciętna płaca miesięczna 26 f.). Pracy dla białych byłoby znacznie więcej, tylko nią gardzą, twierdząc, że tylko Kafrowie godni są ją spełniać. Marzeniem dyrektora każdej kopalni jest obniżyć możliwie płacę roboczą: pierwszą drogą ku temu celowi prowadzącą jest nadmierna podaż siły roboczej. Tutaj jednak niezmiernie ważną przeszkodę tworzy wielka drożyzna wiktuałów, wywołana przez politykę celną. Maszyny i chemikalia, a przedewszystkiem dynamit obłożone są cłem wysokiem. Fabrykacya dynamitu jest zmonopolizowana. Pełno też skarg w kopalniach na ucisk sfer rządzących, a największe pretensye wytaczane bywają przeciwko zarządom kolei i polityce frachtowej.

Johannesburg, położony wysoko w miejscowości łysej, suchej, pustynnej i wietrznej, istnieje lat 20 i liczy dzisiaj 100,000 mieszkańców, w tej liczbie połowę białych. Okolica jest niezdrowa, miasto zawsze pokryte kurzem, pozbawione wody, niewesołe, niesympatyczne. W przeciwstawieniu do głównego miasta, gdzie się „robi majątek," przyjemne wrażenie sprawia przedewszystkiem siedlisko klasy bogatej. Piękne wille toną tutaj w morzu zieleni — pieniądz bowiem zdołał i na skałach rozrzucić ogrody. Ludność Johannesburga przedstawia mieszaninę Niemców, Francuzów i Włochów, po części i Indusów, mówiącą żargonem angielskim, pracowitą, wiecznie spieszącą się, niespokojną i żądną zabawy. Ludność ta prędko zdobywa majątek i równie szybko go trwoni, a cała opanowana jest przez „febrę złota," oddana na pastwę spekulacyi akcyami kopalnianemi. Giełda znajduje się na placu otwartym, otoczonym balustradą z łańcuchów, nazywa się też „Między łańcuchami." Różnie tam bywa na owej afrykańskiej placówce korsarstwa spekulującego. Nie brak i bokserów. Wobec z całego świata nabiegłej hołoty, małych i wielkich łotrzyków, zdziwił Bryce'a brak domów gry, tak licznych w kopalniach amerykańskich. Nie słychać również o lynchu i zabójstwach. Dość liczną jest klasa inteligentna. Składa się ona z Anglików i Żydów angielskich, Amerykanów i mniej licznych Niemców, po największej części należących do wyznania żydowskiego. Holendrzy i Boerowie zajmują tylko posady urzędowe — po za tem nie widać ich wcale. Mało rzucają się w oczy Kafrowie, jakkolwiek liczą ich około 5,000. Boerowie z okolicy przywożą codziennie do miasta jarzyny. Wogóle podróżny czuje się, jak gdyby w angielskiem, a właściwie anglosemickiem mieście. Dlatego też Anglicy, bez względu na czas pobytu swego w Johannesburgu, uważają to miasto za swoją, z prawa im przypadającą własność.

* * *

pokazało się, jak niebezpiecznem jest nazywać rzecz po imieniu. Naiwny cynizm Kardorffa zdemaskował przed światem i społeczeństwem usposobienie i zamiary prawicy. Nadaremnie poseł Spahn wyraził swój żal z powodu szczerości hrabiego; sojusznicy prawicy zaczęli się chwiać. Dowódca narodowo - liberałów oznajmił, iż stronnictwo jego nie będzie dalej przykładało swej ręki do gwałtu. Po tych wystąpiła frakcya polska z tem samem oświadczeniem. Szala większości była jednak jeszcze przechyloną na stronę centrum. Lewica dla zyskania na czasie zażądała przynajmniej imiennego głosowania. Gdy centrum, nieco zażenowane zajściem, przystało na propozycyę, rozpoczął się szereg formalności, który potrwałyby conajmniej jeszcze z 3—4 dni. Na szczęście prezydujący zrozumiał w tej chwili, jaką smutną i haniebną rolę odgrywa jego stronnictwo. Centrum od lat kilkunastu pozuje na Brutusa: zawsze i wszędzie pyszniło się tem, iż stoi na straży praw ludu, że sprawiedliwość jest mu droższą nad życie: w swych filipikach twierdziło wciąż, że przemoc mści się na tych, którzy się nią posługują, że cnota i uczciwość wcześniej czy później wezmą górę nad krzywdą i nikczemnością, a tu odrazu to samo centrum dopuszcza się gwałtu i otwarcie tratuje nogami mniejszość. W sercu starego weterana parlamentarnego, który staczał niegdyś bitwy w obronie uciskanego wówczas centrum, obudziło się wspomnienie przeszłości. Zaproponował zatem, aby lex *Heinze* okroić, zachowując tylko ustępy zwalczające prostytucyę i jej satelitów. Po długich korowodach „przeciwnicy podali“ sobie ręce, a nazajutrz... „Związek Goethego“ szumnemi mowami uczcił tryumf swej gorliwej działalności.

*N. P.*

## Przyczynek do patologii życia galicyjskiego.

W numerze 153 (z d. 2 czerwca r. b.) *Gazety frankfurckiej*, pisma znanego powszechnie z bezstronnej oceny zjawisk życiowych w Niemczech i po za granicami tego kraju, a także z doskonałych, z pierwszej ręki czerpanych informacyj, znajdujemy artykuł, który w dosłownym przekładzie ofiarujemy czytelnikom tytułem surogatu zwykłej korespondencyi galicyjskiej.

„Dnia 30 grudnia 1899 r. znikła z domu kupca krakowskiego, żyda, Izraela Aratena, podczas nieobecności rodziców—13 lat licząca córka Michalina. Ojciec zawiadomił o tem natychmiast policyę miejscową. Nazajutrz dowiedział się, że córka podobno znanwy innej, pracującej w domu kobiety, udała się do klasztoru Felicyanek. W towarzystwie komisarza policyjnego udał się Araten do klasztoru i zażądał rozmowy z córką. Przeorynia, siostra Marya Rozalia, przyrzekła, że życzeniu jego stanie się zadość. Michalinę przyprowadzono do sąsiedniego pokoju i Araten słyszał jej szlochanie. Po krótkiej chwili weszła przeorynia sama i oświadczyła Aratenowi, że dziecko musi przyzwyczaić się do otoczenia i dlatego powinien przyjść po upływie dni pięciu.

„Na trzeci dzień po tej rozmowie zwrócił się Araten do policyi z podaniem, w którem powołując się na art. 145 kodeksu cywilnego, prosił o „asystencyę,“ któraby umożliwiła mu widzenie się z córką. Dyrektor policyi, Korytkiewicz, pomimo jasnego brzmienia odnośnego przepisu prawnego, odrzucił podanie, mówiąc: „Co, ja mam odebrać dziewczynę z klasztoru?“ Wskutek powtórnej prośby delegowano do pomocy komisarza Tomaszyka. Przeoryni odmówiła widzenia, uzasadniając odmowę chorobą Michaliny. Kiedy zaś komisarz zauważył, że matka jej jest ciężko chora i chciałaby córkę zobaczyć, zanim umrze, otrzymał odpowiedź: „Zobaczy ją w niebie.“ Na żądanie ojca lekarz sądowy Filimowski i profesor Żuławski badali Michalinę w klasztorze i oświadczyli, że jest zupełnie zdrowa.

„Pod wpływem usilnych starań Aratena komisarz Tomaszyk został 22 stycznia powtórnie delegowany do klasztoru z formalnem żądaniem, aby ojciec mógł córkę zobaczyć. Wtedy przeoryni odpowiedziała, żeby się zgłosił za dni siedem. Kiedy urzędnik zwrócił uwagę siostrze Maryi Rozalii na nielegalność podobnego postępowania, ta odrzekła: „Postaramy się w sądzie, aby termin wydania został przedłużony, aż dziecko ukończy lat 14; wtedy chrzest nie natrafi na żadne przeszkody. Tymczasem zaś będzie z klasztoru wysłana.“ Urzędnik spisał odpowiedni protokół.

„Kiedy w oznaczonym czasie Araten zgłosił się do policyi, znalazł tam komunikat siostry Maryi Rozalii, opiewający, że Michalina 27 stycznia uciekła z klasztoru. Tymczasem okazało się ze śledztwa policyjnego, że dziewczyna w towarzystwie dwu Felicyanek, z których jedna nosi imię Izydory, odesłaną została do sąsiedniego klasztoru w Łagiewnikach pod Podgórzem. Obecność Michaliny tamże została stwierdzona przez żandarmeryę miejscową. Araten zwrócił się z prośbą o pomoc do starosty, ten jednak udał się po instrukcyę do namiestnika we Lwowie, a kiedy wrócił, nie było już Michaliny w Łagiewnikach. Odtąd szukał ojciec córki po różnych klasztorach—w Wińczycach, Morawicach, Woli, Kętach itd. Tylko w Kętach przyszedł mu z pomocą burmistrz, za co został z tytułu „najścia domu“ skazany na areszt dziesięciodniowy; sąd apelacyjny w Wadowicach zniósł ten wyrok.

„Wtedy zwrócił się Araten do ministra sprawiedliwości, barona von Spens-Bordena, który na audyencyi 1-go lutego obiecał, że mu na drodze postępowania sądowego pomoc okazana będzie: „Jedź pan spokojnie do domu, otrzyma pan córkę z powrotem.“ Minister polecił natychmiast urzędowi prokuratorskiemu w Krakowie, aby zgłosił się ze skargą o uprowadzenie dziewczyny do sądu krajowego. Izba oskarżeń atoli pod prezydencyą Morałewskiego odrzuciła skargę i odmówiła obrońcy Aratena, profesorowi prawa Rosenblattowi, zbadania akt sprawy za dekretem następującym: „Do prof. dr. Józefa Rosenblatta, adwokata krajowego w Krakowie. Nie rozstrzygając kwestyi, czy Izrael Araten może być w sprawie niniejszej uważany za osobę prywatnie zainteresowaną, odmawia się panu zbadania akt sprawy Michaliny Aratenówny, albowiem sprzeciwiają się temu ważne powody. Pełnomocnictwo pańskie przyjętem do wiadomości zostaje. Kraków, 29 marca 1900 r. C. k. sąd dla spraw karnych.“

„Dnia 14 lutego udał się Araten do prezydenta ministra von Koerbera, który na błagalną prośbę o pomoc odrzekł, że „zasługujesz pan na nią, należy się ona panu.“ Przeciwnie minister dla Galicyi prof. Piętak, do którego z podobną prośbą zwrócił się tegoż dnia Araten, odpowiedział: *Umurów klasztoru kończy się władza świecka.* Kiedy wszelkie starania u władz galicyjskich pozostawały bezowocnemi wystarał się Araten o audencyę u cesarza. Franciszek Józef 26 kwietnia przyjął Aratena, uważnie odczytał jego prośbę, a następnie rzekł do klęczącego przed nim ojca: „Udzielę nowych wskazówek władzom, aby te spełniły swój obowiązek.“ Wskazówki te istotnie po upływie dwu godzin rozesłane zostały, pomimo to jednak jeszcze 8 maja, kiedy Araten zwrócił się do sędziego okręgowego Edmunda Hartmana z zawiadomieniem, że córkę jego widziano w klasztorze w Wielowsi pod Tarnobrzegiem, otrzymał odpowiedź: „Idź pan do prokuratora, niechaj wniesie żądanie, my zaś odrzucimy je tak, jak uczynił to sąd w Krakowie.“ Wtedy zwrócił się Araten powtórnie do ministra sprawiedliwości i do prezydenta ministrów, ci zaś przyrzekli, że przed 27 maja córka wrócona mu będzie. W tym dniu bowiem kończy dziewczyna lat 14. Wtedy zaś wedle słów siostry Maryi Rozalii chrzest przeszkód formalnych nie napotka. Z drugiej zaś strony wiadomo, że urząd opiekuńczy w wypadkach analogicznych znosi władzę ojcowską. W takim razie — Michalina nigdy by więcej do rodziców wrócić nie mogła.

„Dzień 27 maja minął — a dziewczyna wciąż jeszcze znajduje się w klasztorze.“

Na tem kończy swą dziwną opowieść dziennik niemiecki. Pragnęlibyśmy niezmiernie, aby strona najbardziej tu dotknięta — władze galicyjskie rzuciły trochę światła na ten ponury obraz stosunków omal, że nie — tureckich.

*—ski*

## FEJLETON.

# LIBERUM VETO.

Zaćmienie słońca.

Zdarzył się dnia 26 maja wypadek, wobec którego zmalały na chwilę najdumniejsze wielkości ziemi, mianowicie — całkowite, widzialne zaćmienie słońca. Dawne bajki, które w najniedorzeczniejszych opowieściach ukrywają głęboki rozum, łączyły to zjawisko z rozmaitemi okropnościami, które tak głośno wołały o pomstę do nieba, że aż dobre, przejęte jego zgrozą oko zamykało się czarną powieką przed krwawemi plamami ziemi. Niegdyś może powiedzianoby, że słońce zaćmiło się na widok morderstwa, dokonywanego na niewinnym ludzie w Transwalu; obecnie już nie wytwarzamy takich legend, które zastąpiliśmy „dobrze pointformowanymi“ artykułami, ale sam fakt ciągle wstrząsa nas, przygnębia i przeraża. Znam bohaterów, którzy nie przerwaliby partyi winta, usłyszawszy, że po za oknami leży Hiob; znam bohaterki, które pokryłyby sobie meble prawdziwą zasłoną ze świątyni Salomona; ale nie sądzę, ażeby się znalazł bohater lub bohaterka, których uwagi nie pochłonąłby widok zaćmienia słońca. Spojrzałem w takiej uroczystej chwili przed kilku laty na pewną plotkarkę, dla której dotychczas nie było we wszechświecie ani jednej istoty i ani jednego zdarzenia, zabezpieczonego od jej obmowy: stała blada, przerażona, jak gdyby przed gilotyną, na której miano jej odciąć język.

— Jak pani się zdaje — zapytałem ją później — czy między słońcem a księżycem nie ma jakiego romansu? Przecież to była poprostu ich schadzka na niebie.

— E, daj pan pokój z żartami — odparła. Ja jeszcze nie ochłonęłam z wrażenia.

A jeśli takie śmiałe stworzenie ukorzyło się przed majestatem wielkiego zdarzenia natury, to cóż mówić o ludziach skromniejszych i lękliwszych — astronomach, poetach i malarzach! Zgromadzili się oni tym razem w Alikante (w Hiszpanii), gdzie było widzialnem całkowite zaćmienie słońca. Już na kilka dni przedtem — pisze naoczny świadek — wszystkie mieszkania i punkty obserwacyjne były zajęte przez przybyszów z rozmaitych krajów Europy. Ponieważ każdy przywiózł z sobą to błoto życia, w którem brodzi, ten pył, którym się okurza, więc oczekując na uroczystość, zaczęto pierwsze rozgarniać,

a drugi rozdmuchiwać w rozmowach niegodnych chwili, która nadejść miała. Odpowiednio do nastroju i stosunków pory Anglicy i Francuzi wszczęli zaraz kłótnię o miejsca. Naprzód słowa, a następnie instrumenty latały z obu stron w zaciekłej walce. Uczeni mężowie uważali za stosowne i potrzebne w ten sposób rozprawić się wobec wspaniałego aktu przyrody. Łżyli się oni, jak dwaj furmani, którzy w ciasnym przejeździe zaczepili się osiami swych wozów. W tę burdę wlazły wszystkie wzajemne pretensye i nienawiści dwóch narodów, ich współzawodnictwa, spory, sprzeczne interesy, cała polityka. Były to ostatnie głosy, które usłyszało niezaćmione słońce. Nareszcie zgiełk umilkł, zbliżyło się uroczyste spotkanie dwu ciał niebieskich. Serca i oddechy przyspieszyły swój rytm, myśli i oczy pobiegły w jednym kierunku. Człowiek zmalał w poczuciu swej niemocy — wszechświat zolbrzymiał w ujawnieniu swych tajemnic. „Około 3 godziny (po południu) — czytamy w opisie — obłoki zbladły, morze poczerniało; cienie przedmiotów zgęstniały, powietrze zrzedło. Noc wypełniła szybko przestrzeń ciemnością. Twarze nasze miały cerę trupią. Jakaś nieprzyjemna jasność, podobna do światła elektrycznego, rozlała się fantastycznie po krajobrazie. Obłoki przybrały barwę szarą, morze — jeszcze czarniejszą. A jednakże ten widok nie przypominał zmierzchu. W górze bowiem nieba był jeszcze dzień, kiedy na ziemi już panowała noc. Dopóki wszakże pozostawał niezasłoniętym najmniejszy skrawek słońca, gołe oko, oślepione jego promieniami, nie mogło dostrzedz zaćmienia. O 3 godz. 58 minut zgasł ostatni blask, a cały widnokrąg zmienił się zupełnie. W bliskości umarłego słońca zajaśniały dwie świetne gwiazdy, podniósł się gwałtowny, zimny wiatr, obłoki opuściły się nizko i nagle po ciemnem tle nocy przeleciał pyszny meteor. Z tysiąca piersi wyrwał się krzyk zdumienia. Chłopi początkowo wierzyli, że nastąpił koniec świata, ujrzawszy meteor, rozradowali się, będąc przekonani, że on zastąpi słońce, które teraz zdradzało swą obecność tylko złoto-srebrnemi smugami cudnej aureoli, rozpostartemi w szerokich pręgach po niebie.

Całkowite zaćmienie — kończy sprawozdawca — trwało zaledwie 1 minutę 19 sek. Lud strwożony ciągle krzyczał i wznosił ręce błagalnie ku niebu. Nagle z pomiędzy dwu gwiazd, z pod czarnego krążka trysnął promień, który odrazu zmienił scenerye świata. „El sol! el sol!“ — krzyknął uszczęśliwiony i rozrzewniony tłum, witając z zapałem powrót twórcy życia. Słońce, odrzuciwszy zasłonę, spojrzało znowu na ziemię swem świetlistem, dobrem, królewsko-ojcowskiem obliczem, jak gdyby ucieszone i wzruszone widokiem człowieczego wesela z jego ukazania się.

Zdawało się, że ludzie w tem krótkiem mgnieniu smutku i trwogi wyszlachetnieli, zapuścili myśli swoje głębiej w bezdenną otchłań zagadek bytu, że zmierzywszy wielkością oglądanego obrazu małość swoich pragnień i celów, poczuli wyrzut zawstydzonej pychy i zarazem przypomnieli sobie nieskończoność wszechświata, która ich otacza i na której tle najwyższe szczyty ich dumy nie są nawet jasnymi lub ciemnymi punktami. Wobec takiego ogromu człowiek jest i będzie zawsze niewymiernie drobnym; ale ma on jedną chwilę niewątpliwej wielkości, mianowicie wtedy, kiedy rozeznaje tę drobność w stosunku do tego ogromu. Nie posiada takiej świadomości ani zwierzę, ani roślina, ani rzeka, ani góra. Tylko on wie coś o bezmiarze istnienia i o swojej bezsile. Burze, trzęsienia ziemi, ruchy planet, zaćmienia słońca budzą tę wiedzę w jego świadomości uśpionej bajkami, pieśniami i narkotykami życia. O ile wszakże ona wznosi nas w najgórniejsze sfery poznania, nie pozwala naszemu duchowi oddychać w nich zbyt długo. Istota, która chce być a często mniema, że jest, ogniskiem wszechświata, jego panem, rządcą, najdoskonalszym tworem — nie może tak w nim myślą rozpłynąć się, jak kropla w oceanie i uważa się co najmniej za olbrzymi okręt na jego falach. Ta istota stworzyła i zdziałała wiele; przebiła nawet szpary w murze wszechświata, przez które podgląda jego tajemnice. Czyż podobna, ażeby ona raz na zawsze zdjęła ze swej głowy koronę i uznała się za garść atomów rzuconych w przestrzeń bez początku i końca? Dosyć ofiary i rozumu ze strony człowieka, gdy on w najuroczystszych momentach objawiania się potęg natury uczuje wobec niej swą skromność i chęć wypuszczenia swej myśli jak gołębicy podczas potopu, ażeby ona szukała gruntu, na którym arka bezpiecznie osiąść może.

Takie pragnienie nawiedziło niewątpliwie wszystkich świadków tegorocznego zaćmienia. Ostatnim głosem, dosłyszanym z ziemi przez gasnące słońce, był wrzask kłótni astronomów, walczących o wygodne miejsce dla obserwacyi; ale jakże odmiennym był pierwszy widok, który ono dostrzegło, wychyliwszy się z po za ciemnej zasłony! Minuta wstrząsającego zjawiska wystarczyła zapewne w sercach do oczyszczenia dusz ludzkich z nienawiści, trujących jadów, duszących swędów i tego robactwa, które w nich się lęgnie, karmione zgnilizną życia? Zapewne tutaj na krótko wszyscy wznieśli w górę serca i umysły? O, tak! Gdy słońce rozejrzało się po ziemi, zauważyło siedzącego nad brzegiem morza człowieka, zatopionego w jakiejś książce. Rzuciło ciekawy wzrok na pięknie zadrukowane karty i czytało:

„Wygląd zewnętrzny, ufryzowanie, krój brody, krawat kamerdynera musi odpowiadać ściśle przepisom. Kamizelka w przeciwstawieniu do fraka ma być pstra, żółta lub czerwona. Przy obiedzie służący powinien być ubrany w pończochy i trzewiki. Kamasze z sukna szaro-brunatnego, niekolorowe, guziki z masy perłowej. Metalowe z wyciśniętym herbem są tu nie na miejscu. Białe pończochy nie mogą być dopuszczone. Lokaj winien poruszać się bez pośpiechu, lecz umiarkowanie i z godnością. Chociażby rozmowa państwa przy stole przybrała nastrój wesoły, służba ma zachowywać niewzruszoną powagę. Wymieniając gościom nazwy win, powinna głos zniżyć. Wogóle dobry lokaj nie sprawia żadnego hałasu, rozumie spojrzenie i miny swego pana i nigdy nie wpada do pokoju nagle lub z przestrachem, nawet wtedy, kiedy chce donieść, że wybuchł pożar. Czyszczenie cylindra, składanie spodni, upakowywanie kufra — wszystkie te i tym podobne czynności musi on wykonywać według pewnych stałych prawideł. Bibułka jest niewłaściwa do obwijania, gdyż jej przymieszka chlorowa czerni kosztowne części ubrania“ — itd.

Ironicznie uśmiechnięte słońce zajrzało pod spód na kartę tytułową: „Poprawny służący“ (*Der korrekte Diener*, 1900), dzieło oryginalnie napisane.

Był to pierwszy ważniejszy objaw myśli ludzkiej, jaki ono zobaczyło po zaćmieniu.

*Poseł Prawdy.*

---

## RZUT OKA NA HISTORYĘ POLSKĄ.

III.

Już za czasów Zygmunta Augusta szlachta urzeczywistnia swoje aspiracye klasowo-materyalne i wraz z tem pozbawia swoją ideowość źródła, z którego ta czerpała i moc swoją i polot. Pobudka, podnosząca do czynu, znika, pozostaje tylko rozbudzona myśl krytyczna w formie kacerstwa, nieznajdująca dość silnej podniety w stosunkach codziennych z chwilą zwycięztwa szlachty nad Kościołem, oraz nieotrzymująca poparcia z zagranicy, gdzie po okresie reformacyi następuje reakcya katolicka. Organizacya sejmu elekcyjnego, oparta na plebiscycie tłumów drobnej, niewykształconej a prawowiernej szlachty, również nie sprzyja dalszemu rozwojowi myśli kacerskiej. Tak samo spełzły na niczem wszelkie próby racyonalnej reformy politycznej, będące politycznym wyrazem tego samego prądu, jakim były nowinki sekciarskie w zakresie zagadnień religijnych. Ustawa sejmu elekcyjnego, dzieło arcykatolickiego Jana Zamojskiego, stwarza *sui generis* pospolite ruszenie i powierza decyzyę o losach kraju ogółowi szlacheckiemu, niezdolnemu wznieść się po nad chwilowy interes swojej klasy i podporządkowującemu przyszłe interesy „narodu szlacheckiego“ korzyściom chwili bieżącej, a zarazem umożliwia mu organizowanie się podczas bezkrólewia i prowadzi do takiego samego pospolitego ruszenia w każdym innym wypadku, gdy wchodzą w grę lub bywają obrażone interesy znacznej części ziemiaństwa. Gdyby cały naród składał się jedynie ze szlachty, byłaby to idealna konstytucya, lecz wobec ujarzmienia ludu i upadku miast stworzyła ona wyzysk gminu, społeczeństwo rozpołowiała i robiła niektóre odłamy jego obojętnemi na losy kraju i obezwładniała ich w stosunku do przodowników, wzmacniała przesądy klasowe i zamykała drogę pojawieniu się nowych sił wytwórczych, miejskich. Szlachta stała się warstwą panującą, król jedynie rozdawcą łask. „Jest więc król polski w swoich funkcyach publicznych całkowicie jakoby królem pszczół, który tylko miody przynosi swoim poddanym... Skarbem swoim bogaci on tak dalece poddanych, iż w całej niezmierności królestwa i wielkiej liczbie jego narodów niemasz prawie szlachcica albo żołnierza zasłużonego, któryby z łaski królewskiej nie zaczerpnęli w bogactwach jego skarbu... Żądła nie ma żadnego, gdyż życie, wolność osobista i mienie szlachty są najzupełniej wyjęte z pod jego władzy“ *). Możnowładztwo, z punktu prawnego, zlało się z ogółem szlacheckim, wprawdzie będą jeszcze kolizye polityczne pomiędzy obu odłamami „narodu szlacheckiego“ podczas wyborów Walezyusza, Batorego i Zygmunta III, antagonizmy uwydatnią się w rokoszu Lubomirskiego i konfederacyi gołąbskiej, lecz nabierają one coraz bardziej charakteru zatargów pomiędzy fakcyami, pod któremi ukrywa się ambicya wielkich rodów.

Z zapanowaniem ustawy elekcyjnej ustrój kraju zamienia się na skończoną federacyę ziem i województw. Sejmiki rozstrzygają o zasadniczych sprawach kraju, sejm jest tylko kongresem skonfederowanych jednostek terytoryalnych, posłom nie wolno było odstępować od doręczonych na sejmiku instrukcyi, *liberum veto* przedstawia jedynie logiczny wynik tej zasady. W gruncie rzeczy najwyższa władza prawodawcza i częściowo wykonawcza, miejscowa, znajdowała się w ręku tych organów lokalnych. Nawet organizacya sądów koronnych i skarbu nie przeniewierza się ogólnej zasadzie, a sejmiki sięgają tak daleko, że pragną wziąć pod swoją kontrolę mianowanie wojewodów, kasztelanów i starostów.

„Udział w reprezentacyi sejmowej — pisze prof. Pawiński **) — opiera się coraz mocniej i szerzej na zasadzie pewnej samodzielności sejmikowej, wyra-

*) Piasecki u K. Szajnochy: *Dwa lata dziejów naszych.* Tom I, str. 243—4. Warszawa, 1900.

**) *Rządy sejmikowe w Polsce*, str. 337—8.

żającej się w instrukcyach lub pełnomocnictwach dawanych posłom sejmowym z pewnemi zastrzeżeniami i ograniczeniami. Łącznie z tą podniesioną świadomością znaczenia politycznego rośnie równocześnie i rozwija się szeroka dążność do zdobycia udziału w ogólnym zarządzie rzeczypospolitej. Powstaje w prędkim czasie cały systemat władz sejmikowych obok systematu urzędów koronnych".

„Sejmiki, powiada Wł. Smoleński*), zagarniające w swe ręce ustawodawstwo, administracyę i sądownictwo, podkopały powagę organów centralnych, rozbiły rzeczpospolitą na kółka samodzielne, które funkcyonowały niezależnie, stosownie do potrzeb partykularnych, bez uwagi na interes ogólny. Doprowadzona do ostateczności, decentralizacya rozbiła jedność sił państwowych; oddała ją na łup możnowładztwa i państw cudzoziemskich".

Dodajmy, że rozbiła naród także szlachecki na kliki. Rozstrzelenie społeczne, z którego Europa zachodnia wychodzi w w. XVII i XVIII, u nas właśnie rozwielmożnia się w najlepsze. Wywóz zboża zagranicę czyni szlachtę obojętną na powstanie swojskich ognisk zbytu produktów rolnych, funkcye władzy monarszej ograniczają się do rozdawnictwa synekur, zamiast miecza zjawia się pług i staje się celem zabiegów, pozostaje zdolność do partyzantki wojennej, jak za najazdu szwedzkiego, lub jednorazowych wypraw krzyżowych, jak wiedeńska, lecz nigdy do systematycznej wojny — nie mówię już zaczepnej, lecz nawet odpornej. Z ustrojem federalistycznym niknie także świadomość interesu klasowo-narodowego i rozpływa się w ideologii własnego, osobistego dobrobytu, związanego aż nazbyt często z interesem pewnego zamożnego rodu. Polska trzyma się nierządem — teza ta staje się wyznaniem wiary szlacheckiej, żyjącej dniem tylko dzisiejszym i bieżącym interesem. I nawet pomimo rozległego życia sejmikowego nie będzie w kraju żadnej szkoły ćwiczącej gruntownych mężów stanu, t. j. ludzi obejmujących wzrokiem swoim interesy całej rzeczypospolitej, teraźniejsze i przyszłe. Najwyższe dostojeństwa, będące synekurą niemal dziedziczną pewnych rodów, są oddawane niegodniejszemu, lecz posiadającemu szersze wpływy; sejm, każdorazowo złożony z innych posłów, a nadto ograniczony instrukcyami, nie stwarza polityków, ale przygodnych statystów; członkowie trybunałów najwyższych i urzędnicy ziemscy podlegali również prawu określającemu czas urzędowania i powstrzymującemu wyrobienie sprawności dostojniczej. Jak cechy miejskie dbały o utrzymanie wśród członków swoich równości ekonomicznej i postęp techniki poświęcały interesom osobistym cechowców, takiej samej taktyce hołdował naród szlachecki względem reprezentantów władzy prawodawczej i wykonawczej, a to dlatego, że „życzliwych ojczyźnie synów i do zasłużenia sił ochotnych znacznie wzmógł się poczet", jest „znaczna ichmości braci konkurencya do usługi publicznej". Wrazie potrzeby, gdy wypadki będą wymagały jednolitości i sprężystości, chwilowa dyktatura, konfederacya, winna zaradzić złemu. Narzędzie to, kierowane przez dyletantów i przygodnych wodzów, jest zresztą narzędziem obosiecznem, bo zarówno dobrem dla obrony kraju, jak dla wichrzeń prywaty.

Takiemi są zasadnicze fazy rozwoju wszechwładztwa narodu szlacheckiego. Z wyjątkiem okresu humanistycznego, w zatargach i aspiracyach mało jest stałej ideologii i nawet frazeologii ideologicznej. Ideologia wzbiera podczas najazdu szwedzkiego, w wyprawie wiedeńskiej, w harcach z Tatarami, lecz poza obrębem tych chwil wyjątkowych interesy materyalne, w całym okresie elekcyjnym, zabierają głos z niezmierną szczerością. Kwestya podatków i ciężarów publicznych, spory o jurysdykcyę kościelną i dziesięciny, niechęć ku żądaniom ludu — nigdzie niema osłonek, a targi o każdy grosz, przeznaczony na obronę kraju, odznaczają się nieraz charakterem bardzo przykrym. Samolubstwo klasowe, za tronu elekcyjnego, rządzi się tylko widokami interesu osobistego. Zresztą nie mogło być inaczej wobec struktury ekonomicznej kraju. Zagon i drobny szlachcic albo dominium i pan, i znowu zagon ze szlachcicem lub dominium pańskie, bez spoidła społecznego podziału pracy i zależności ekonomiczno-wytwórczej, z zapewnionym odpływem zboża za granicę, a często nawet z porządkami naturalistycznemi spożycia produktów na miejscu przez właściciela, taki ustrój ekonomiczny, wobec nieistnienia centralizacyi prawodawczej i nawet łączności dynastycznej, z konieczności musiał zniszczyć świadomość ogólno-klasową, t. j. narodowego interesu, i natomiast wysunąć na pierwsze miejsce świadomość interesu prywatnego, osobistego. Szlachta istnieje jako klasa, lecz nieposiada sumienia i woli klasowej. Interes publiczny jej był i być musiał prostą sumą interesów indywidualnych, nie zaś czemś więcej, jak było wśród mieszczaństwa francuskiego ku schyłkowi przeszłego wieku, kiedy rozwinięty podział pracy i wymiany stworzył widnokręgi klasowe, odrębne od interesów pojedyńczego członka i nawet całych odłamów stanu trzeciego. Taka ideologia zjawiała się u nas, jak wiemy, tylko w chwilach klęski powszechnej, np. szwedzkiej.

Ale powyższe wywody nie wyczerpują jeszcze wątku dziejów „narodu szlacheckiego". Dostarczają one co najwyżej tła ogólnego, na którym rozwój stosunków ekonomicznych wyznacza szczegółowsze wzory. Do nich przejdziemy.

*L. K.*

*) L. c., tom. II, str. 154.

---

## „STULECIE KOMÓRKI."

(Słów parę o „romansach doświadczenia").

Doprawdy: człowiek strzela, lecz sam kul nie roznosi. Tak jest zawsze i wszędzie i tak się dzieje w nauce. Gdy powstaje nowa teorya lub zyskuje prawo obywatelstwa nowa metoda badania, nie wiadomo, dokąd zaprowadzić mogą w przyszłości te drogi nowe, choćby nawet zdawały się być na razie najlepszemi: materyalizm, zrodzony, jako reakcya przeciw filozofii metafizycznej, z czasem począł się przekształcać w istną metafizykę materyi, a monizm, zwalczający przedewszystkiem wszelkie pojęcia dualistyczne, zatem i witalizm, rozpisuje się o przeróżnych duszach roślinnych i zwierzęcych, o duszach komórkowych, o różnych stopniach filogenetycznego rozwoju duszy itd.

Zazwyczaj są tu winne nie same ideje, lecz ich rzecznicy zaślepieni lub nieudolni, którzy przeżuwają myśli swych poprzedników i wydają je z siebie zmienione nie do poznania.

Kto wie, czy to nie jest zwykła historya każdego szczerego kierunku we wszelkiej dziedzinie twórczości. Zwłaszcza z początku, zanim się on należycie umocni, sił nabierze i drogę murowaną zdobędzie, zbytnia gorliwość rzeczników czyni zeń jakąś igraszkę chwiejną. Jest to historya, jak świat, stara a świetną jej charakterystykę — w zastosowaniu do metody doświadczalnej wogóle — dał jeszcze Jędrzej Śniadecki: „Mojem zdaniem, byłaby rzecz warta równie uczonego pióra, a może użyteczniejsza, zatrudnić się doskonałą krytyką doświadczenia; inaczej przewiduję, że wkrótce..., porzuciwszy romanse imaginacyi i zapalonego umysłu, budować będziemy romanse doświadczenia..."

Więc wszystko się kończy „romansem"— nawet ta metoda badań, która jest najbardziej pozytywna: droga doświadczalna. Wszędzie i zawsze możemy proces ten stwierdzić.

Dobiegający do kresu wiek XIX mógłby, oprócz pary, elektryczności, wzmożenia antagonizmów narodowościowych i innych przydomków, przybrać jeszcze jedno miano: stulecia komórki. Bo, istotnie, nauka o komórce stała się ostatniemi zwłaszcza czasy najbardziej uprawianą gałęzią nauk biologicznych, zarówno w botanice, jak i w zoologii — a jest to taki prąd, który nie zjawia się w nauce ni stąd, ni zowąd, jeno wywołany jest przez pewną konieczność, jest wytworem kierunków i powstaje pod naciskiem zagadnień, które dopominają się o rozwiązanie.

Ruch ten wywołała w połowie bieżącego stulecia teorya ewolucyi: rozszerzywszy widnokręgi umysłu ludzkiego, otworzyła przed nim światy niewidzialne, a idea ciągłości pchała ku nim zmysł badawczy. Nadto, wielka ta zdobycz, jaką było stwierdzenie analogii między rozwojem osobników a całych grup zwierzęcych i roślinnych, opierała się też przedewszystkiem na znajomości zjawisk, zachodzących w życiu komórki — albowiem komórką jest zarówno jajko, z którego ma się rozwinąć organizm zwierzęcy lub też wytworzyć nasienie, a z niego drzewo największe, jak i ten organizm pierwotny, który powstał na ziemi hen, w dziejów pomroce, ta prapierwotna „grudka protoplazmy," w której kształty po raz pierwszy wcieliło się wszechpotężne życie na planecie naszej.

Więc na tej drodze, na drodze badania komórki otwiera się przyszłość świetlana — rozwiązanie zagadki początku życia. Tryumf to wielki. Siląc się przez długie czasy nadaremnie nad wybrnięciem z błędnego koła abstrakcyj, umysł ludzki zdołał nareszcie wprowadzić do zagadnienia wielkiego i kształty realne; zamiast czczych spekulacyj zdobył możność badań prawdziwych, albowiem odnalazł ów pierwiastek organiczny, będący najprostszem siedliskiem życia — grudkę protoplazmy, zawartą w granicach komórki.

Rozwiązanie zagadki — to cel jeszcze bardzo daleki i droga bardzo pośrednia doń wiedzie. Ale wszystko, co wyjaśnia istotę tego realnego wcielenia siły tajemnej, co ułatwia zrozumienie owego siedliska, przyczynia się też do zrozumienia jego tajemniczego mieszkańca — życia.

Stąd ów zapał do badań nad komórką. Jedni, reprezentujący kierunek fizyologiczno-biologiczny, starają się badać komórkę w stanie spokoju i podczas czynności dzielenia się, stwarzając rozmaite warunki, naturalne i nie naturalne, aby obserwować w każdym przypadku odmienne zachowanie się zarówno całej komórki, jak i pojedyńczych jej części składowych — aby następnie, porównywając i zestawiając zdobyte spostrzeżenia, pewne wnioski ogólniejsze wyciągać, i dalej, znów zbierać i porównywać, i dalsze wnioski budować.

Inni natomiast — przedstawiciele kierunku morfologicznego, poświęcają główną uwagę budowie subtelnej poszczególnych części komórki.

I ani się spostrzeżono, jak ta praca realna i pozytywna, co stanowiła chlubę jej gorliwych pionierów, poczęła nieznacznie przybierać charakter istnych „romansów doświadczenia," a nauka o komórce stała się metafizyką komórki. Jedni, pociągnięci w wir spekulacyj histologicznych, widzą w komórce uproszczony i skondensowany obraz najbardziej złożonych organizmów; inni, skromniejsi w swych wybujałych fantazyach, dopatrują się w niej wszakże różnych „organów centralnych,"

które pełnią czynności niby jakiegoś „mózgu komórki,“ regulującego i kierującego wszystkiemi jej sprawami...

Jednem słowem, zapomniano, że ma się tu do czynienia właściwie z „pierwiastkiem“ organicznym, w którym należałoby się dopatrywać stosunków możliwie prostych i nie skomplikowanych. Ale... prostota jest pono rzeczą bardzo trudną i człowiek rad doszukuje się rzeczy bajecznie zawiłych tam, gdzie wszystko jest proste, bardzo proste.

Nie zdołał się też uchronić od „romansów doświadczenia“ drugi kierunek badań — morfologiczny, którego zadaniem jest poznawanie budowy części, składających komórkę. Rzec by można, że tutaj właśnie „romanse“ owe występują nawet w bardziej jaskrawej postaci.

Bo jakże bada się obecnie komórkę, wobec najnowszych postępów „techniki mikroskopowej?“ Oto, przedewszystkiem, „utrwala“ się jej zawartość protoplazmatyczną, czyli przez traktowanie odpowiednimi czynnikami chemicznymi (alkohol, kwas octowy, chromowy, sublimat, różne mieszaniny złożone itd.) strąca się w ciele komórki substancye proteinowe; następnie, wyodrębnione w jednolitej masie protoplazmy cząsteczki stałe czyni się lepiej widocznemi z pomocą całego szeregu barwników — i po tem wszystkiem obserwuje się i opisuje najrozmaitsze typy *normalnej* struktury protoplazmy: ziarnistą, włóknistą itp. Nie dość tego: strukturom tym przypisuje się niezwykle ważne znaczenie, na jej właściwościach opiera się całe systematy spekulacyj histologicznych!...

Rzecz oczywista, że tego rodzaju traktowanie przedmiotu musiało wywołać niejedną krytykę surową i głos, ostrzegający przed niebezpieczeństwem. Obecnie batalię srogą stoczył p. Alfred Fischer, a dzieło jego *) jest wyrazem opinij, będących głosem zmysłu krytycznego.

Więc, przedewszystkiem, z niezwykłym krytycyzmem traktować należy owe obrazy, które obserwujemy pod mikroskopem w komórkach „utrwalonych,“ a które są wynikiem strącenia substancyj białkowych. Następnie, co się tyczy barwienia, pamiętać trzeba, że barwienie się przedmiotu danego jest zjawiskiem nie chemicznem, lecz fizycznem; że przeto na zasadzie różnego zachowania się barwionego ciała wobec barwników wnioskować można nie tyle o jego naturze chemicznej, ile — co najwyżej — o jego składzie fizycznym; że stopień lub charakter barwienia się danej substancyi zależy od stopnia jej ziarnistości, od szybkości dyfuzyjnej barwnika, oraz od stopnia jego koncentracyi.

Wielce ciekawy przykład w tym względzie daje nam różnica w barwieniu się jąder komórek rozrodczych żeńskich i męzkich (komórek jajowych i ciałek nasiennych): jądra pierwszych, przy stosowaniu dwu barwników, niebieskiego i czerwonego, barwią się na czerwono, w drugich zaś zatrzymują przeważnie barwę niebieską. Na tej zasadzie budowano już misteryę o tajemniczem jakiemś powinowactwie płci żeńskiej z barwą czerwoną, a męzkiej — z niebieską.

Tymczasem — mówi p. A. Fischer — różnica ta jest wynikiem najzwyklejszych stosunków fizycznych. Masa rozrodcza męzka zawsze jest bardziej skupiona i skoncentrowana, aby możliwie mało przestrzeni zajmować i łatwiej módz sobie drogę torować; natomiast komórka jajowa wpływowi względów powyższych nie podlega, wykazując zazwyczaj budowę bardziej luźną, mniej ściśniętą. Mistyczna „erytrofilia“ pierwiastków żeńskich i „cyanofilia“ — męzkich jest tedy rezultatem odmiennego ich stanu fizycznego, uwidoczniającego się przy stosowaniu pewnych barwień podwójnych (niebiesko-czerwonych).

Na obserwowaniu utworów sztucznych i braniu ich za naturalne części komórki opierają się przeważnie wszelkie dowodzenia, tyczące się budowy protoplazmy. Mamy już „teorye“ o strukturze plazmy grubo i drobnoziarnistej, piankowatej, włóknistej, to znów jednolitej gęsto-ciekłej i wiele innych. A. Fiszer wywoływał różne obrazy podobne drogą sztuczną przez traktowanie preparatów białkowych odpowiednimi czynnikami „utrwalającymi.“ Nawet i tę promienistość układu włóknistego protoplazmy, odgrywającą tak wybitną rolę w najnowszej nauce o komórce, udało mu się też sztucznie wytworzyć w martwych komórkach suchego rdzenia bzu dzikiego, napełnionych roztworami białkowymi...

Ciężkie są te zarzuty, rzucone w oczy najnowszym badaniom histologicznym, ich technice zbyt „udoskonalonej“ i teoryom, stanowiącym ich wykwit. Są one może niekiedy nieco przesadzone, może zbyt krańcowo rzecz niejedną sądzą; ale bywają przypadki, kiedy istotnie należy stosować środki krańcowe: nadmiar krytycyzmu zimną wodą zlewa, lecz nie szkodzi. Zresztą, w danym razie nie jest to sprawa życia i śmierci, bo zaślepienie i błędy rzeczników idei nie zdolają jeszcze samej prawdy sprowadzić na manowce; bo ta prawda czysta zawsze, wcześniej czy później, musi się wykrystalizować w całym majestacie swej jasności—nawet w środowisku najbardziej mętnem... Lecz w każdym razie szkoda sił, które się zużywają bez należytego pożytku; szkoda zapału, który, zamiast na wyżyny niedościgłe, wznosi się po szczeblach nędznej sztucznej drabiny.

Dlatego też nigdy nie za dużo krytyki najsurowszej, bo nikt tak zaślepiony nie będzie, jak ci, co „porzuciwszy romanse imaginacyi i zapalonego umysłu,“ budować poczną — może nawet nie wiedząc o tem — „romanse doświadczenia...“

*Edward Strumpf.*

*) Alfred Fischer: *Fixirung, Färbung und Bau des Protoplasmas*. Kritische Untersuchungen über Technik und Teorie in der neueren Zellforschung. Jena, 1899.

## LITERATURA I SZTUKA.

### LITERATURA POLSKA.

Antoni Sygietyński: *Drobiazgi*, z portretem autora i wstępem krytycznym P. Chmielowskiego, str. 220.— Antoni Potocki: *Martosia i my*, nowele, str. 192. Lwów, nakładem Tow. wydawniczego, Warszawa, księgarnia S. Sadowskiego, r. 1900.

Antoni Sygietyński znany i ceniony jest w literaturze przedewszystkiem jako wielostronny, głęboki i pełen, rzadkiego u przeciętnych Arystarchów naszych, indywidualizmu — estetyk i krytyk, wyborny zarówno w wyczerpujących studyach o sztuce plastycznej i współczesnej powieści francuskiej, jak i w krótszych recenzyach i sprawozdaniach z muzyki i teatru lub rozgłośnych, a jedynych w swoim rodzaju artykułach o „kulturze estetycznej sceny warszawskiej,“ drukowanych niedawno w *Gazecie Polskiej*. Od czasu do czasu przedsiębierze on jednak wycieczki i w biegunowo przeciwną swej zwykłej pracy dziedzinę samoistnej twórczości beletrystycznej, kreśląc wówczas, z dużą werwą i nie mniejszym od niej zasobem spostrzegawczości, bądź obszerniejsze utwory powieściowe, bądź też krótkie szkice i obrazki. Wynikiem wycieczek tych właśnie są z jednej strony dwie nierówne pod względem artystycznym, lecz w każdym razie wartościowe powieści („Na skałach Calvados“ i „Wysadzony z siodła“), a z drugiej — świeżo wydany zbiór „Drobiazgów,“ na który złożyła się część utworów pomniejszych tego autora, pisanych, jak się zdaje, w różnych odstępach czasu i zebranych obecnie w jeden tom średniej wielkości.

Utwory, mieszczące się w nowej książce Sygietyńskiego, możnaby podzielić na trzy odrębne grupy, zaliczając do pierwszej z nich krótkie, lecz znakomite wprost pod względem stylistycznym fejletony („Kołyska - wieczny tułacz,“ „Aktorka,“ „Skałotocz-palczak“), do drugiej — obszerniejsze nieco opowiadania i nowele we właściwem tego słowa znaczeniu („Gemma,“ „Ciocia Teosia,“ „Nasza kochana pani“); do trzeciej wreszcie („Po czasie,“ „W noc świętojańską“) — dwa obrazki, wywierające wrażenie rzewnego wylewu wspomnień lirycznych z dni młodości, zamkniętego w formę zręcznych, ładnych i bardzo subtelnych dyalogów. W zbiorze całym panuje duża rozmaitość tematów i motywów, lecz każdy z nich daje autorowi sposobność stwierdzenia trafności sądu Chmielowskiego, który zapewnia w przedmowie, że Sygietyński zmuszał ciągle umysł do pracy w tym kierunku, „aby wszystko, co się wyraża, miało jędrność i gibkość krzepkiego organizmu, wypukłość rzeczy widzianej, barwność oświetlenia, właściwą danemu przedmiotowi w danej chwili, i harmonię muzycznego frazesu.“ I praca ta nie pozostała bezowocną. Autor „Wysadzonego z siodła,“ czy to maluje nam w barwach posępnych nędzne życie rybaków normandzkich lub chłopów włoskich i polskich, czy w wyrazach gorących ujmuje się za upośledzoną w życiu społecznem i opinii towarzyskiej aktorką; czy dzieli się wrażeniami, odebranemi na nowej komedyi lub operze, czy nawet, z drobiazgowością specyalisty - zoologa, zatrzyma uwagę czytelnika na żywocie i pracy takiego nędzarza w dziedzinie przyrody, jak przypięty do skały nadmorskiej niestrudzony pracownik, małż skałotocz-palczak, o miękliwem, zaopatrzonem w muszlę dwuścienną ciele, nędzny, ledwie widoczny sam przez się, lecz należący, wraz ze wszystkimi osobnikami swojego gatunku, „do tej olbrzymiej gromady działaczów niestrudzonych, którzy, rozproszeni po wszystkich lądach, odmieniali od niepamiętnych czasów i po dziś dzień odmieniają pomału, pocichu, lecz skutecznie, postać kuli ziemskiej“ — pozostaje zawsze (naturalnie, autor, nie—skałotocz) wytwornym, pierwszorzędnym stylistą, jednym, istotnie, z tych niewielu u nas artystów słowa, którzy „z darem natury łączą przy pisaniu rozmysł artystyczny o sztuce pisania.“

Nie wszystkie szkice i nowele Sygietyńskiego nadają się do streszczenia, co zresztą w wielu razach uważaćby można za prawdziwą pochwałę utworu literackiego. Bo choćbyśmy powiedzieli nawet, że nowela „W noc świętojańską“ jest sobie bezpretensyonalnym opisem wyprawy do lasu młodziutkiej, kapryśnej nieco i upartej panny Zofii, w towarzystwie niestarego również i nieobojętnego dla niej nauczyciela, pana Wiktora, w poszukiwaniu tajemniczego „kwiatu paproci,“ rozkwitającego w wigilię św. Jana o samej północy, to streszczenie takie nie da czytelnikowi najsłabszego pojęcia o prześlicznych obrazach lasu w noc księżycową, których tu mamy kilka, ani o wysokich zaletach dyalogu, prowadzonego w tak niezwykłych warunkach przez młodą parę, a toczącego się, jak w podobnych okolicznościach przystało, około odwiecznego zagadnienia —

Jeszcze w większym byłbym kłopocie, gdyby mi wypadło opowiedzieć treść tej niezmiernie subtelnej „rozmowy na tle wspomnień“ („Po czasie“), w której u Sygietyńskiego jakaś para, nieznana nam z imion nawet, odświeża w pamięci dni niepowrotnej przeszłości, jakby dla przekonania czytelnika, że „ze wspomnieniami dzieje się to samo, co z arcydziełami starych mistrzów w galeryach obrazów: co rok pod coraz to nowemi powłokami werniksu, pomieszanego z dawnym pyłem, nabierają coraz to subtelniejszego wyrazu, cieplejszego tonu, rozkoszniejszej barwności...“ Mowa jest znowu o szczęściu, tym razem — owem najsmutniejszem, bo z winy własnej, czy fatalności jakiejś — nieosiągniętem wcale, choć blizkiem tak się zdawało. Dziś nawet tego, co było, uzmysłowić niepodobna. „Daremny trud! Ilużby nam rzeczy zabrakło! Gdzież to otoczenie, tak dobre i wesołe; gdzie ten dwór, w którym pani żyła, jak zaczarowana księżniczka; gdzie ci kawalerowie, którzy zajeżdżali do pani, jak w bajce, po szklanej górze; gdzie ta oficyna, z której okien przez dwa miesiące obserwowałem tyle smutnych zachodów słońca, że dziś jeszcze czuję, jak mi w duszę mrok pomału zapada: gdzie te stawy, na których bujaliśmy się, zapatrzeni w tajemnicze cienie drzew, podczas nocy księżycowych; gdzie te konie, na których przebiegaliśmy pola, łąki i lasy, gdzie ten kościół stary, w którym pani śpiewała tyle pieśni i modlitw; gdzie ten ksiądz bogaty, który się bał złodziei; gdzie młodość?...“ „Wszystko przeszło... a czemuż nie przejdą łzy moje?“ — miałoby się ochotę dokończyć z Mickiewiczem, ale wyręcza nas autor, wypowiadając ustami bohaterki obrazka charakterystyczne słowa: „Było dużo i nic, ale nic nie pozostało, bo szczęścia nie było...“ Urywek ten cały, nastrojem i treścią przypominający nieco znany obrazek dramatyczny Sienkiewicza p. t. „Czyja wina?“, mógłby być również z zupełną słusznością zaliczony do utworów dramatycznych, gdyż składa się wyłącznie z rozmowy, tylko że u naszych dramaturgów współczesnych, których dzieła widujemy na scenie, dyalogów podobnych nie spotykamy, niestety...

Z trzech utworów nowelistycznych, we właściwem znaczeniu wyrazu, „Gemma“ posiada szczegóły ładne i wzruszające; jako całość jednak, wskutek zbyt dużego nagromadzenia barw ciemnych, razi pewną melodramatycznością. „Nasza kochana pani,“ zaopatrzona w swojsko brzmiącą dewizę: „Lepiej z wierzbiny kręcić fujarki, niżli na niej szczepić gruszki,“ oddaje wybornie ironiczny nastrój, z którym zagrzęźli w konserwatyzmie mieszkańcy chaty przyjmują zabiegi inteligentnej damy, mające na celu podniesienie ich pod względem ekonomicznym i umysłowym. Z dużą plastyką i prawdziwym artyzmem skreślona tu zwłaszcza została przebiegła, nieufna dusza starej wieśniaczki, prowadzącej z doktorem charakterystyczną rozmowę „o naszej kochanej pani,“ jak tytułuje stale nielubianą w gruncie rzeczy działaczkę wielkomiejską, której jednak, w nadziei spodziewanych zysków, pozornie przynajmniej ulega.

Lecz prawdziwą pod pewnym względem ozdobą książki jest, dla mnie przynajmniej, najdłuższe w tym zbiorze opowiadanie („Ciocia Teosia“) o niewesołych kolejach życia jednej z tych cichych a pożytecznych istot, przychodzących na świat w roli urodzonych sióstr miłosierdzia, żyjących zawsze nie dla siebie i śmiercią swą nawet nie przysparzających ludziom kłopotu. „Zaledwie promień jakiegoś urojonego szczęścia rozgrzał jej na chwilę serce, a już rozpoczęła się droga na Golgotę. Troska szła za troską, boleść za boleścią, śmierć za śmiercią. Żadnych wspomnień rozkosznych! Nic, prócz goryczy złudzeń, wczas rozwianych! Kto wie nawet, czy się kiedykolwiek łudziła, czyby mogła się przyznać do jakichś pragnień niezwykłych, do jakichś marzeń niedościgłych.“ Ta „kartka z życia nieinteresującego,“ jak utwór został nazwany, nie ma pięknych opisów i dyalogów wytwornych, które spotykamy w innych pracach Sygietyńskiego, ale mieści w sobie dużo prawdy życiowej i jakieś ciepło serdeczne, rozlane w całym utworze i świadczące wymownie, że autor, obok wysokiego artyzmu i subtelności słowa, posiada duszę, umiejącą chwilami odczuwać silnie bóle i wzruszenia serc dobrych, prostych, opuszczonych... Jedno jakieś marzenie o szczęściu osobistem w młodości, jeden zawód gorzki na progu życia, a potem długie lata cichego, nigdy odpowiednio nie docenionego poświęcenia dla innych, z zasuszonem gdzieś na dnie serca wspomnieniem rojeń dziewiczych, z zasuszoną w książce do nabożeństwa wiązanką niezapominajek i zeschłą również oddawna lilią wodną w kalendarzu. Bywają, istotnie, kobiety, dla których przez niewytłomaczoną ironię losu największem szczęściem na ziemi staje się już tylko nazwa „cioci,“ którym każdy przyznaje najchętniej talent na niańkę, a nikt, nie wiadomo poprostu dlaczego, dopatrzeć się w nich nie chce prawdziwego talentu na matkę...

Dobrym stylistą, wykształconym, podobnie jak Sygietyński, w szkole współczesnych pisarzów francuskich, jest również jeden z najzdolniejszych krytyków młodszego pokolenia, p. Antoni Potocki. Jako beletrysta, występuje on po raz pierwszy ze sporym tomikiem nowel i szkiców, malujących z dużą swobodą i niewątpliwym talentem sceny i obrazy z pospolitego, szarego, często nawet marnego życia inteligencyi, pół i ćwierć-inteligencyi, zabarwiane chętnie pewną domieszką zmysłowości. Nie szukajmy tu uczuć potężnych lub wulkanicznych wybuchów; nie szukajmy nawet tej miłej zawsze, choć niekiedy budzącej w duszy melancholię, woni wspomnień, którą spotykamy u Sygietyńskiego; nie szukajmy również tego zaufania do cichej pracy skałotoczców, tego współczucia dla napół uświadomionego bólu bez skargi istot dobrych, a przez los krzywdzonych, o którem mówiliśmy przed chwilą. Lecz bez szukania nawet uderzy nas w tej książce pewne zamiłowanie autora do odsłaniania szarej, często podartej i brudnej podszewki życia, zwanej pospolicie odwrotną stroną medalu, do wydobywania na światło dzienne tych stron charakterów i żywota, które wogóle nie lubią promieni słonecznych, a niekiedy ukrywają się chętnie w mrokach alkowy...

W noweli tytułowej („Martosia i my“) paczka „porządnych“ młodzieńców przyjeżdża na wieś z najlepszymi zamiarami i kończy po dwóch tygodniach pospolitym romansem jednego z nich z ładną dziewczyną wiejską, która im się wynajęła do gotowania i posługi. „Lekcyę z Pawlukiem,“ biednem dzieckiem, torturowanem nieświadomie przez otoczenie, przerywa najpierw zły humor i senność papy-pedagoga, a potem widok okazałych kształtów jego małżonki, która się zbliżyła w rozpiętym kaftanie. „W rozsypkę“ idzie gromadka młodych i sympatycznych dziewcząt, które na ławce szkolnej marzyły o wyższem kształceniu się i wspólnej pracy dla innych. „Wampirem“ jest młodzieniec, czyhający, niby pająk z siatką, na upatrzoną oddawna ofiarę, z którą sprzykrzył mu się już całkiem stosunek platoniczny. „Dość tej platoniki — powiada — im prędzej to się skończy, tym lepiej... Ale jak? Zosia jest taka drażliwa, dziwnie naiwna, jak na swe lata... W „Dniu powszednim“ wreszcie autor odtwarza z dużą prawdą nieznośny stosunek dwojga ludzi, wywołany przepracowaniem, rozdrażnieniem, a poniekąd i egoizmem męża, spędzającego znaczną część dnia na lekcyach poglądowych i pogadankach z malcami, bezwiednie niemal dokuczającego młodej i dobrej żonie i zmieniającego się znów odrazu — na progu sypialni. Inny charakter nosi tylko, jeśli nie brać w rachubę dwóch krótkich opisów pożaru, najdłuższa w tym zbiorze nowela p. t. „Berta,“ ładne opowiadanie z życia malarza Snarskiego, którego jednak odpycha również od czary szczęścia — głupota i podłość ludzka.

Bohaterowie nowel p. A. Potockiego nie są może nagół zepsuci i źli do gruntu (wyjątek pod tym względem stanowi jeden tylko Bronek z „Wampira“); cechuje ich jednak prawie wszystkich jakaś słabość, lekkomyślność, zdolność do drobnych, codziennych podłostek, brak trwałych podstaw moralnych i silniejszego ukochania czegokolwiek, co wszystko razem sprawia, że się z nimi rozstajemy bez żalu...

*Władysław Bukowiński.*

## NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

POEZYE. Belmont Leo: „Rymy i rytmy.“ Wybór poezyj, t. I, str. 438, t. II, str. 330. J. Fiszer.

— Słoński Edward: *** (Zbiorek poezyj) 4⁰ str. 21. Warszawa.

POWIEŚĆ. Kaczkowski Zyg.: „Wybór pism,“ t X (Anuncyata cz. II), Gebethner i Wolff.

DRAMATY. Kulikowska Marcelina: „Mistrz Zenon.“ Dramat w trzech odsłonach, str. 47. Kraków. Nakł autorki.

— Jellenta Cezary: „Nurty,“ ogniwa dramatyczne, cz. I, wyd 2, str. 141. Kraków.

ŻYCIORYSY. Winiarski Leon: „William Morris,“ str. 143. Bronisław Natanson.

NAUKI PRZYRODNICZE. Conn W.: „Świat drobnoustrojów.“ Bakterye. Przekł. z angielskiego dr. F. Sachsa, z 24 rysunkami w tekście, str. 233, 16⁰. B. Natanson.

— Pattison Muir M.: „Świat zjawisk chemicznych.“ Przekł. z angielskiego Cecylii Holewińskiej, str. 179, 16⁰. B. Natanson.

— Dr. Warming Eug.: „Zbiorowiska roślinne. Zarys ekologicznej geografii roślin.“ Przekł. z niemieck. E. Strumpfa i J. Trzebińskiego, str. 450. Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Cena rb. 1 kop. 50.

SPRAWA KOBIECA: Orzeszkowa Eliza: „List do kobiet niemieckich“ i „O Polce — Francuzom,“ str. 83. B. Natanson.

LUDOZNAWSTWO. „Wisła,“ tom XIV, zeszyt 2 (marzec, kwiecień), str. 339.

— „Klechdy, czyli baśnie ludu polskiego na Szlązku.“ Ze zbiorów Wydziału literackiego w Gostyniu, str. 82. Dubowski. Cena kop. 20.

MEDYCYNA. Chełchowski K.: „Sprawa szczepienia ospy u nas,“ str. 34.

HYGIENA. Dr. Bartkiewicz Bronisław: „Statystyka kąpieli publicznych w Warszawie,“ str. 14.

PODRĘCZNIKI. Stattlerówna Helena: „Początki nauki rachunków w układzie metodycznym,“ str. 232. Gebethner i Wolff.

KWESTYONARYUSZE. Koszutski Stanisław: „O czem pisać korespondencye z prowincyi,“ str. 31 Borkowski. Cena kop. 30.

TANIE WYDAWNICTWA. Chociszewski J.: „Krótka historya Polski,“ str. 70. Borkowski. Cena 15 k.

— Dr. Puławski A.: „O tem, co to jest ospa i co trzeba robić, aby się od ospy uchronić.“ (Odczyt popularny), str. 22. Spółka nakł. tan. wyd.

PRZEWODNIKI. Janowski A: „Wycieczki po kraju.“ II (Opatów, Ujazd, Klimontów, Ossolin, Sandomierz). Nakł. autora. J. Fiszer. Cena 60 kop.

— Dr. Latkowski J.: „Przewodnik po Maryenbadzie i okolicy,“ str. 62. Kraków. Nakł. S. Krzyżanowskiego.

MUZYKA. Hanicki Tadeusz: „Codzienne ćwiczenia skrzypcowe,“ str. 55. Nakł Gebethnera i Wolffa. Cena 2 rb.

## SPRAWY EKONOMICZNE

## SYNDYKAT WĘGLOWY NADREŃSKO-WESTFALSKI.

### II.

Na posiedzeniu sejmu pruskiego d. 1 lutego r. b., minister handlu, Brefeld orzekł, że skutki syndykatów węglowych są ze wszech miar zbawienne. „Zawdzięczamy syndykatom — mówił minister — że ceny utrzymały się na średnim poziomie i nabrały znacznej stałości.“ Podobnie wyrażał się sam o sobie syndykat, a za nim przychylna mu prasa wielkokapitalistyczna. Cyfry wszakże nieco inaczej opiewają. Cyfry te zaczerpnąć można ze sprawozdań giełdy w Essen i Dortmundzie, gdyż w obu tych miastach rynek zależy najzupełniej od cen naznaczonych przez syndykat. Ze sprawozdań wynika, że istotnie od czasu utworzenia syndykatu ceny są nadzwyczaj jednostajne. Inaczej być też nie może. Nie bawi się on w drobny handel, ilości poniżej 500 tonn (500,000 kilogr.) nie sprzedaje wcale, odsyłając drobnych spożywców do kilku zaledwie hurtowników; z tymi zaś, oraz z przemysłowcami potrzebującymi wielkich ilości zawiera kontrakty roczne, a ponieważ giełda notuje tylko ceny hurtowe, jasnem więc jest, że cedula giełdowa przedstawia się bardzo jednostajnie. Dane te wszakże nie świadczą o zbytniem umiarkowaniu. Przeciętne bowiem cyfry roczne tak się przedstawiają: Za 1,000 kilogramów płacono marek:

| w roku | węgiel opałowy | węgiel gazowy | koks do w. pieców |
|---|---|---|---|
| 1887 | 5,72 | 7,10 | 7 83 |
| 1880 | 12,36 | 14.58 | 19,78 |
| 1893 | 7,58 | 9.79 | 11,00 |
| 1896 | 8,03. | 10,17 | 12,02 |
| 1897 | 8,57 | 11,17 | 13.87 |
| 1898 | 8,84 | 11 46 | 14,00 |
| 1899 | 9,13 | 11,75 | 14.37 |
| 15 sty. 1900 | 9.50—11,50 | 12,00—13,50 | 17,00—20,00 |

Od r. 1893 zatem, kiedy został założony syndykat, mamy stały przyrost cen, a ceny podane za styczeń zobowiązują na cały rok i są wyższe od cen z r. 1893 o 25%. Ceny w r. 1887 były nizkie, lecz wzrastały powoli, a tendencya ta zwyżkowa trwała nieprzerwanie do maja 1889 r., do wybuchu wielkiego bezrobocia w kopalniach nadreńskich. Długie to bezrobocie wywołało na rynku pamiętną panikę, z której skorzystały kopalnie i podwyższyły ceny w sposób niemal nieprawdopodobny. Oczywiście tak wygórowane ceny utrzymać się nie mogły i w r. 1893, kiedy syndykat został zawiązany, spadają do poziomu średniego pomiędzy normalnie nizkiemi z r. 1887 a wygórowanemi z r. 1890. Widzimy z powyższej tablicy, że syndykat podwyższał ceny z początku powoli, a potem raptownie, w podskokach i zdołał je doprowadzić niemal do cen z roku wyjątkowej drożyzny. Wobec tych cyfr mówić o zbawiennym wpływie syndykatów na unormowanie cen — wydaje się nam bardzo ryzykownem; przeciwnie, można wyciągnąć z nich wniosek niezbity, że sydykat podwyższył ceny, ile tylko mógł, a jeżeli nie podniósł ich jeszcze wyżej, to tylko dlatego, że groziła mu konkurencya węgla angielskiego i belgijskiego. Przytem dodać należy, że nawet z ujednostajnienia cen skorzystać mógł tylko przemysł wielki, gdyż, jak wspomnieliśmy, syndykat nie sprzedaje węgla odbiorcom drobnym, muszą oni go nabywać od hurtowników i detalistów, tym zaś pozostawiono zupełną swobodę w normowaniu cen, a jednocześnie wzmocniono stanowisko hurtowników, gdyż syndykat zawiera kontrakty *z kilku* zaledwie hurtownikami, którzy wobec tego nie potrzebują obawiać się żadnego współzawodnictwa. Dla ogółu ludności zatem o żadnym zgoła dobroczynnym wpływie syndykatu nie może być mowy; płaci ona dzięki niemu znacznie wyższe ceny za opał.

Że ceny wysokie nie są wynikiem naturalnych warunków, lecz zostały sztucznie wyśrubowane, o tem wątpić nie można wobec faktu ograniczania produkcyi. Od r. 1894 dla każdego uważnego spostrzegacza było oczywistem, że rozpoczynający się w tym czasie rozwój przemysłowy trwać musi co najmniej kilka lat, wobec czego popyt na węgiel i koks musi wzrastać. Tymczasem w r. 1893 przeciętne ograniczenie produkcyi, podyktowane kopalniom przez syndykat, wynosiło 5,15%, w r. 1894 — 5 03, w roku 1895 zaś, kiedy popyt wzrastał już bardzo szybko — 10,43, a w następnych dwu latach — 8,71 i 6,04%. W r. 1898. kiedy już widocznem było, że istnieje faktyczny brak węgla, syndykat wciąż jeszcze ograniczał produkcyę o 7,5%. Rok 1899 odznaczał się niebywałem ożywieniem w dziedzinie przemysłu, węgla wszakże otrzymać nie można było wcale. Pismo *Der Arbeitsmarkt*, wydawane przez Jastrowa, stwierdziło paradoksalny fakt: przymusowe świętowanie robotników w fabrykach żelaznych z powodu braku materyału surowego; zabrakło żelaza, ponieważ wielkie piece i walcownie nie były zaopatrzone w dostateczną ilość węgla i koksu; pomimo to syndykat w dalszym ciągu „ograniczał“ produkcyę kopalń, zmniejszając ją o 5%. Bezrobocie górników czeskich zaostrzyło jeszcze położenie; w miastach Niemiec południowych brakło opału—syndykat pozostał jednak przy swojej „zasadzie,“ nie zniósł ograniczenia kontyngensu. Jasnem więc jest, że kierownicy syndykatu świadomie wytwarzali drożyznę.

W sprawozdaniach syndykatu podwyższenie cen tłomaczy się zwykle zwiększonymi kosztami produkcyi, przedewszystkiem płacy roboczej, która w górnictwie stanowi 60% ogólu kosztów. Jest to tłomaczenie nader bałamutne. Z urzędowych bowiem danych wynika, że przeciętny zarobek roczny górnika w okręgu darmsztadzkim, do którego zaliczają się wszystkie kopalnie syndykatu, wynosił:

| w r. | marek | w r. | marek | w r. | marek |
|---|---|---|---|---|---|
| 1888 | 936 | 1892 | 1120 | 1896 | 1203 |
| 1889 | 1028 | 1893 | 1084 | 1897 | 1328 |
| 1890 | 1138 | 1894 | 1102 | 1898 | 1364 |
| 1891 | 1217 | 1895 | 1114 | | |

Widzimy zatem, że zarobki podlegają znacznym wahaniom, że były one w r. 1893 niepomiernie nizkie i tylko porównywając ten wyjątkowy rok z następnymi, otrzymamy cyfry świadczące o szybkim wzroście, biorąc zaś do porównania lata 1890—92, otrzymamy bardzo nieznaczne podwyższenie zarobków. Dodać należy, że zarobki zwiększyły się nietylko wskutek wyższej płacy dziennej, lecz wskutek zwiększenia ilości pracy: płaca za „szychtę“ wzrosła cokolwiek, lecz wzrosła także ilość szycht, przypadających przeciętnie na górnika: a więc płaca robocza za wyprodukowanie tonny węgla nie wzrosła w tym stopniu, jaki wykazują cyfry powyższe. Że tak jest istotnie, dowodzą następujące dane, zaczerpnięte ze sprawozdań tegoż okręgu górniczego. W trzech pierwszych kwartałach *) każdego roku liczono:

| w r. | zatrud. robot. | węgla tonn |
|---|---|---|
| 1894 | 152,139 | 30,147,077 |
| 1895 | 153,537 | 30,129,963 |
| 1896 | 159,915 | 33,059,990 |
| 1897 | 172,768 | 35,750,462 |
| 1898 | 190,532 | 37,656,341 |
| 1899 | 204,410 | 40,957,911 |

*) Cyfry podane za pierwsze trzy kwartały, gdyż sprawozdanie za cały rok 1899 nie ukazało się dotychczas.

A więc w r. 1894 na jednego robotnika przypada 197,5 tonn dobytego węgla w ciągu trzech kwartałów, w r. 1899 — 200,37 tonn. Te wszakże cyfry nie zupełnie jeszcze odpowiadają rzeczywistości z powodu wadliwego obliczenia. W statystyce tej bowiem liczba robotników obejmuje wszystkich zatrudnionych przez kopalnie, bez względu na rodzaj ich zatrudnienia. Tymczasem właśnie w ostatnich latach kopalnie, a zwłaszcza syndykalne, wprowadzają coraz więcej urządzeń technicznych do przetwarzania węgla — koksownie, fabryki t. zw. brisquetów, dystylarnie smoły, fabryki barwników itp., a robotnicy tu zatrudnieni zostają wliczeni do liczby ogólnej. Prócz tego zwyżka cen zachęciła kopalnie do rozpoczęcia robót około eksploatacyi nowych pokładów, zakładania nowych szacht, i znów robotnicy, zajęci przy tych robotach przygotowawczych, zostają zaliczeni do liczby ogólnej. To też właściwi górnicy w r. 1895 stanowili 78% wszystkich zatrudnionych robotników, w 1898 r 76%. Faktycznie zatem ilość wydobytego węgla, przypadająca na jednego robotnika, jest znacznie większa. Powoływanie się zatem na zwiększone płace robocze jest w części tylko uzasadnione: Płaca wzrosła cokolwiek wskutek zwiększonego popytu na ręce robocze, lecz bynajmniej nie w tym stosunku, co ceny węgla.

Natomiast wraz z ceną wzrosły zyski przedsiębiorców kopalń, połączonych w syndykat, wzrosły dywidendy, podwyższyły się kursy giełdowe akcyj. Oto kilka przykładów: *)

| Kurs giełdowy w końcu roku w procentach | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| Nazwa towarz | 1893 | 1894 | 1895 | 1886 | 1987 | 1898 |
| Arenberg | 427 | 539 | 625 | 774 | 810 | 916 |
| Gelsenkirchen | 145 | 167 | 177 | 170 | 192 | 191 |
| König Wilhelm | 98 | 116 | 137 | 189 | [illegible] | 247 |
| Hibornia | 115 | 136 | 169 | 180 | 209 | 210 |
| **Dywidenda za rok w procentach** | | | | | | |
| Arenberg | 30 | 35 | 40 | 50 | 60 | 65 |
| Gelsenkirchen | [illegible] | 6 | [illegible] | [illegible] | [illegible] | 10 |
| Konig Wilhelm | 8 | 10 | 10 | 17 | 20 | [illegible] |
| Hibornia | 9 | 5½ | [illegible] | 9⅓ | 12 | 12 |

Wraz z ceną wzrastały zatem szybko dywidendy i kursy akcyj, a wobec dywidendy tych rozmiarów mowy już być nie może o „niedostatecznych zyskach od kapitału.“ Syndykat więc podwyższał systematycznie ceny węgla na korzyść skoalizowanych przedsiębiorców i wyzyskał sytuacyę w miarę możności. Wszelkie tedy twierdzenia o „społecznych zasługach syndykatu,“ który ustala ceny i utrzymuje je na średnim poziomie, są gołosłowym frazesem, niewytrzymującym krytyki. Przypomina się tu orzeczenie Henry O. Havemeyera, prezesa „American Sugar Refining C-o,“ stojącego na czele trustu cukrowego. Badany przez komisyę parlamentarną, na nieśmiałe zapytanie jednego z członków, w jaki sposób pogodzić wyzysk praktykowany przez trusty z etyką, pan ten odpowiedział z całym spokojem: „Etyka? Za pańską etykę na giełdzie dwóch centów nie dadzą. Na etyce nie znam się; zresztą, mówimy przecież o interesach.“ Nie można zaprzeczyć słuszności takiemu stanowisku. Skoro się mówi o interesach, należy etykę pozostawić na uboczu, a jeżeli nasi europejscy trustowcy mówią o „zasługach społecznych,“ które są również czynnikiem etycznym, bądźmy przekonani, że czyni się to dla interesu, dla obałamucenia opinii publicznej: dlaczego zaś syndykatowi węglowemu na przychylności opinii publicznej zależeć musi, postaramy się zaraz wykazać.

Westfalski syndykat węglowy musi liczyć się z konkurencyą węgla zagranicznego, belgijskiego po części, przedewszystkiem zaś angielskiego, który przez Hamburg bywa transportowany do dzielnic

*) Cyfry czerpane z „Handbuch der deutschen Aktiengesellschaften.“

północno-zachodnich. Ten węgiel zagraniczny opłaca cło i oczywiście przedsiębiorcom musi zależeć na tem, aby cło to zostało zachowane. Jakie wszakże mogą istnieć pobudki do utrzymywania cła „ochronnego“ przy wygórowanych cenach i faktycznym braku węgla, ze stanowiska gospodarstwa społecznego zrozumieć trudno i spożywcy coraz częściej zadają sobie to pytanie. Skąd tedy zwolennikom syndykatu mówić o jego „zasługach społecznych“? Cło — powiadają oni — trzeba utrzymać, inaczej wskutek konkurencyi z węglem zagranicznym zostanie zaostrzone współubieganie się o rynki zbytu i syndykat, ów dobroczynny syndykat rozpadnie się.

Lecz na tem nie koniec. Nietylko przywóz węgla zagranicznego jest utrudniony dzięki cłom, lecz wywóz węgla niemieckiego po za granice państwa jest faworyzowany za pomocą polityki taryfowej: węgiel westfalski, wysyłany do Francyi i Szwajcaryi, bywa przewożony na drogach żelaznych państwowych po znacznie obniżonych taryfach. Dochód z kolei państwowych jest jedną z bardzo poważnych pozycyj w budżecie Rzeszy, a zniżenie taryfy uszczupla ten dochód; *plebs misera et contribuens* patrzy tedy na uszczuplenie dochodów państwowych, dokonywane po to, aby panowie przedsiębiorcy mogli wywozić węgiel za granicę tanio wtedy właśnie, kiedy ceny za opał są nieznośnie wysokie. Jasnem więc jest, że trzeba trąbić rozgłośnie o społecznych zasługach syndykatu dla otumanienia tego właśnie plebsu. Ta „polityka zewnętrzna“ syndykatu, ujawniająca się w wywozie węgla za granicę, kiedy go brak w kraju, rzuca bardzo charakterystyczne światło na działalność skoalizowanych przedsiębiorców. Wywóz wzrasta nieprzerwanie od czasu założenia syndykatu; jak wykazują następujące cyfry urzędowe: wywieziono tonn węgla: w roku 1894 — 9,739,000, w 1895 — 10,360,000, w 1896 — 11,594,000, w 1897 — 12,390,000, w 1898 — 13,996,000, w 1899 — 15,130,000. Przeważna część węgla wywożonego przypada na zagłębie westfalskie. Syndykat patrzył tedy obojętnie na niedobór węgla w kraju, na trudności, z jakiemi walczył z tego powodu przemysł, na brak opału dla mieszkańców i wysyłał regularnie coraz to większe ilości węgla za granicę. Oto „społeczne zasługi,“ oto „dbałość o interesy przemysłu krajowego.“

Obrońcy syndykatu oczywiście mają gotową wymówkę: Wyrządzonoby szkodę — powiadają — „niemieckiej produkcyi węglowej, (ci panowie zawsze mówią w takich razach nie o interesach swoich klientów, lecz o „rodzimej produkcyi“), gdyby porzucono rynki zagraniczne; zwiększony popyt na węgiel w kraju ustanie bowiem, gdy minie obecne ożywienie w przemyśle, a wtedy wywóz węgla będzie koniecznością. Argument ten, pomimo pozorów słuszności — jest sofizmatem: Oczywiście zawarte z zagranicą kontrakty muszą być dotrzymane, jednakże wzrost wywozu o 55% w ciągu pięciu lat świadczy o tem, że mamy tu do czynienia ze świadomą swych celów polityką prywatnych przedsiębiorców. Cel tej polityki jest jasnym: przez wywóz węgla za granicę wytwarza się sztuczną jego drożyznę w kraju i zdobywa się rynki nowe przez zniżenie cen na tych rynkach, co zmusi w końcu producentów innych zagłębi węglowych do wstąpienia w układy z syndykatem dla podziału całej Europy zachodniej na okręgi zbytu. Zanosi się na to, że takie międzynarodowe porozumienie nastąpi, a w takim razie wysokie ceny węgla, zapewniające zyski lichwiarskie, zostaną utrwalone na stałe. Chodzi wszakże o to, aby porozumienie nastąpiło w bardzo bliskiej przyszłości, zanim minie ożywienie przemysłowe, panujące obecnie w przemyśle nietylko niemieckim, lecz zachodnio-europejskim wogóle, w przeciwnym bowiem razie ze zmianą konjunktury rozpocznie się wściekłe współzawodnictwo, które może zagrozić istnieniu syndykatu. To też gra on *va banque* i forsuje wywóz, nie myśląc wcale o interesach „przemysłu rodzimego.“

*Dr. J. B. Marchlewski.*

## KRONIKA.

**Program obrad Zjazdu historyków**, który się odbył d. 4 i 5 czerwca *):

Pierwszego dnia:

Sekcya I. *Historya polityczna i historya prawa.* a) Kwestye metodyczne i dydaktyczne: 1) Dr. Bronisław Dembiński: Stan nauki historycznej pod względem metody; 2) dr. Juliusz Makarewicz: Metoda socyologiczna w historyi prawa; 3) dr. Włodzimierz Czerkawski: Metoda statystyki historycznej polskiej; 4) dr. Bronisław Łoziński: Historya współczesna w programie wykształcenia politycznego. b) Kwestye specyalne: 5) dr. Stanisław Krzyżanowski: Wielka własność gruntowa i jej wpływ na organizacyę społeczną i polityczną wieków średnich; 6) dr. Alojzy Winiarz: Przegląd literatury prawa polskiego w ostatniem dziesięcioleciu; 7) Michał Rawicz Witanowski: Monografie miast jako materyał do poznania wewnętrznych dziejów kraju; 8) dr. Stan. Kutrzeba: W sprawie historyi miast w Polsce (dwa referaty); 9) dr. Aleksander Czołowski: O potrzebie badania i gromadzenia zabytków municypalnych, cechowych, brackich itp.; dr. Alojzy Winiarz: Co uczyniono dotąd w Galicyi dla ratowania archiwaliów gmin miejskich i i wiejskich i co jeszcze do zrobienia pozostaje?

Sekcya II. *Historya literatury.* 1) Dr. Józef Tretiak: Podział historyi literatury polskiej na okresy; 2) dr. Konstanty Wojciechowski: Potrzeba naukowych krytycznych wydań najznakomitszych poetów polskich dawniejszych i nowszych, jaki ma być program wydawnictwa i na jakich zasadach oparty; 3) dr. Jan Karłowicz: Środkowość polszczyzny; 4) dr. Bronisław Gubrynowicz: W sprawie poetyki polskiej; 5) dr. Aleksander Kolessa: Rytmika ukraińska, rusińska i polska; 6) dr Antoni Karbowiak: Stan badań na polu dziejów wychowania, szkół i nauk w Polsce.

Sekcya III. *Archeologia i historya sztuki.* 1) Julian Pagaczewski: W sprawie inwentaryzacyi zabytków sztuki w Polsce, a zwłaszcza w Galicyi; 2) dr. Stanisław Tomkowicz: O potrzebie zdejmowania planów przy sposobności przebudowy starych typowych domów w miastach i miasteczkach naszych; 3) dr. Feliks Kopera: O potrzebie zbiorowego wydania piśmiennych źródeł, odnoszących się do sztuki, archeologii i kultury XI—XII w.; 4) Leonard Lepszy: Sprawa uporządkowania i uprzystępnienia zbiorów rycin, tudzież potrzeba wydawnictwa drzeworytów polskich; 5) ks. dr. Józef Bilczewski: Znaczenie archeologii chrześciańskiej.

Sekcya IV. *Etnografia.* 1) Alfons J. Parczewski: O zbadaniu granic i liczby ludności na kresach obszaru etnograficznego polskiego; 2) Ludwik Młynek: O dzisiejszej nazwie „Lach“ i jej znaczeniu dla badań etnograficznych; 3) dr. Antoni Kalina: O badaniu narzeczy języka polskiego i o piśmiennem oznaczaniu ich dźwięków; 4) Roman Zawiliński: O potrzebie mapy etnograficznej polskiej.

Drugiego dnia:

Sekcya I. *Historya polityczna.* a) Przegląd dziejów Polski: 1) dr. Wiktor Czermak: Jakim powinien być podręcznik naukowy dziejów polskich, przeznaczony dla szerokich kół czytelników? 2) dr. Ludwik Finkel: Okres Piastowski; 3) dr. Fryderyk Papee: Wiek XV (1386—1506); 4) dr. Józef Korzeniowski: Wiek XVI (1506—1586); 5) Eugeniusz Barwiński: Wiek XVII, cz. pierwsza, Czasy Zygmunta III (1587—1632); 6) dr. Wiktor Czermak: Wiek XVII, cz. druga (1632—1696); 7) dr. Szymon Askenazy: Epoka saska (1696—1763); 8) dr. Bronisław Dembiński: Epoka Stanisława Augusta; 9) dr. Szymon Askenazy: Epoka porozbiorowa (1795—1830); 10) dr. Ludwik Finkel: Składane Dzieje Polski. b) Luźne kwestye: 1) Aleksander Jabłonowski: Atlas historyczny ziem ruskich Korony w epoce przełomu z w. XVI na XVII; 2) dr. M. Schorr: Historya Żydów w Polsce; 3) dr. Teodor Schiemann: Zgon Waleryana Łukasińskiego.

Sekcya II. *Historya literatury.* 1) dr. Aleksander Kolessa: Pogląd na współczesny stan badań w zakresie historyi ukraińsko-rusińskiej literatury; 2) dr. Aleksander Bruckner: Polska literatura średniowieczna; 3) dr. Wiktor Hahn: Najważniejsze dezyderaty w sprawie badań nad literaturą humanistyczną w Polsce; 4) dr. Władysław Nehring: Rozkwit języka polskiego w w XVI w.; 5) dr. Aleksander Brückner: Literatura polska XVII w.: 6) dr. Piotr Chmielowski: Literatura polska wieku oświeconego; 7) dr. Józef Kallenbach: Kilka uwag o niezałatwionych kwestyach literatury polskiej z pierwszej połowy XIX w.; 8) dr. Józef Tretiak: Żywioł ruski w literaturze polskiej; 9) dr. Piotr Chmielowski: Spółczucie psychologiczne w badaniach historyczno-literackich.

Sekcya III. *Archeologia i historya sztuki.* 1) Dr. Włodzimierz Demetrykiewicz: Warunki pracy naukowej na polu archeologii przedhistorycznej w Polsce i kwestya ich zasadniczej poprawy; 2) Ksawery Chamiec: Przeddziejowe stosunki zewnętrzne ziemi Kijowskiej; 3) dr. Piotr Bieńkowski: Sarmaci i Roksolanie w sztuce rzymskiej: 4) Karol Bolsunowski: Najdawniejsze pomniki chrześciaństwa na Rusi: 5) dr. Jan Bołoz Antoniewicz: Portret Cecylii Gallerani przez Leonarda da Vinci w muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie; 6) Leonard Lepszy. Produkty cechowe w stosunku do kultury średniowiecza i renesansu; 7) Grzegorz Worobjew: Miasto Tykocin; 8) Karol Bolsunowski: Wiadomość o domniemanym kalendarzu litewskim, „Berło Gedymina“ zwanym.

Sekcya IV. *Etnografia.* 1) Seweryn Udziela: Ornamentyka ludowa i jej znaczenie dla sztuki i przemysłu krajowego: 2) dr. Jerzy Polivka: O znaczeniu badań powiastek ludowych: 3) dr. Franciszek Krczek: O potrzebie atlasu żywej mowy polskiej i sposobie jej urządzenia: 4) Jan Świętek: O dotychczasowych badaniach nad wierzeniami ludu polskiego i postulaty na przyszłość; 5) Stanisław Zdziarski: Dotychczasowy stan badań nad etnografią polską i dalsze ich kierunki; 6) Narcyz Sikorski: O nazwach ludowych ludu tarnowskiego; 7) dr. Michał Żmigrodzki: O znaczeniu swastyki w historyi dei...

*) Sprawozdanie szczegółowe zamieścimy niebawem.

**Wiadomości społeczne.** Rosyjska grupa związku międzynarodowego kryminalistów (prezes prof. Fojnickij) opracowała projekt nadmiernej ustawy towarzystw opieki nad opuszczającymi więzienia przestępcami. Towarzystwo — według projektu — ma na celu opiekę materyalną i moralną nad wychodzącymi z więzienia, ale tylko nad takimi, którzy albo sami jej żądać będą, albo budzą nadzieję możliwej jeszcze poprawy. Członkami towarzystwa mogą być również kobiety.

— W Paryżu zorganizowano w roku zeszłym uniwersytet ludowy przy towarzystwie *Coopération des Idées*. Na kartach wstępu zamiast zwykłych „reguł“ wydrukowano następujące obowiązki słuchaczy: „Troszczyć się o wypożyczone książki, aby wiele jeszcze osób mogło je czytać. Nie pluć na podłogę. Corocznie umiera we Francyi 160 tysięcy osób na suchoty, a z tych ⅔ umierają dlatego, że plwociny nasze rzucamy na podłogę. W rozmowach nie przypuszczać nigdy, że ten, kto się z nami nie zgadza, jest głupi albo nikczemny. Być może, że on ma słuszność. Szanować zdania każdego, ludzie bowiem mylą się i my sami widzimy zaledwie mały kącik prawdy...“

— Większość studentów wyjeżdżających za granicę wyrabia sobie paszporty, za które wnosi zwykłą opłatę 15-rublową, gdy tymczasem mogą być oni od tej opłaty uwalniani. W tym celu winni na odnośnem podaniu do rektora o pozwolenie na wyjazd zaznaczyć, iż pragną otrzymać paszport ulgo-

wy, a jednocześnie złożyć podanie w kancelaryi generał-gubernatora z prośbą o zwolnienie od opłaty paszportowej.

**Ruch kobiecy**. Zarząd wystawy kobiecej międzynarodowej w Londynie 1900 roku rozsyła zaproszenia do kobiet całego świata. Uwzględnione będą wszystkie czasy i wszystkie kraje; praca kobiet w zakresie produkcyi przemysłowej i domowej, wychowanie i filantropii. Wystawa chciałaby przedstawić w pełni zdolności kobiety we wszystkich dziedzinach pracy, gdzie tylko wymagane są wynalazczość, gust, dokładność itd. Wystawa obejmie też galeryę portretów sławnych kobiet. Adres: Womans Ehibition, Earls Court, S. W. London.

— Na podobieństwo dziennika *La Fronde* w Paryżu, wychodzą w Chicago *Żeńske Listy*, pisane, redagowane, administrowane i drukowane przez kobiety. Wogóle Czeszki zamieszkałe w Chicago odznaczają się znaczną ruchliwością; zorganizowały one 60 stowarzyszeń fachowych, a 3,000 kobiet czeskich należy do klubów, mających na celu podniesienie wychowania kobiecego.

— W Wiedniu zorganizowało się stowarzyszenie wypożyczania biednym położnicom wyprawek dla noworodków, które po upływie roku zwracane bywają dla dalszego użytku. Pierwszą myśl rzuciła panna Billroth, córka wielkiego chirurga. Instytucya taka oddawna już istnieje w Anglii. O użyteczności i słuszności niema co mówić, pragnęlibyśmy aby się i u nas przyjęła. Dla informacyi kół właściwych podajemy adres pani Kamili Brunauer (Wien I, Rudolfsplatz 11).

**Prasa**. Podług obliczeń *Rus. Listka* w Rosyi wychodzi 779 pism i gazet (z wyjątkiem Finlandyi), a więc jedna gazeta przypada na 167,000 mieszkańców. W Niemczech jedna gazeta przypada na 8,000 mieszk., w Ameryce półn. w jednym tylko stanie Michigan, liczącym 2 miliony ludności, wychodzi 800 pism. Z pośród wydawanych w Rosyi 779 pism wychodzi: w języku rosyjskim — 631, polskim — 65, niemieckim — 42, estońskim — 11, francuskim — 8, łotyskim — 9, ormiańskim — 6, gruzińskim — 5 i w żydowskim — 2.

— Cesarstwo łącznie z Królestwem Pol. liczy 2,687 księgarń — jedna przypada na 46,000 mieszkańców. Najkorzystniej pod tym względem przedstawia się Król. Pols., gdzie jedna księgarnia przypada na 32,000 ludności. (*Prawit. Wiest.*).

**Zapisy**. Edward Łojko zapisał testamentem na rzecz mającego powstać w Warszawie uniwersytetu dla kobiet dom swój przy ul. Aleksandrya, z zastrzeżeniem, że do czasu utworzenia rady municypalnej dom przechodzi pod zarząd magistratu.

**Zmarli**. Władysław Wisłocki w Krakowie, kustosz Biblioteki Jagiellońskiej, redaktor „Przewodnika bibliograficznego."

*Szan. Abonentów kwartalnych i półrocznych prosimy o wniesienie przedpłaty.*

## OGŁOSZENIA.




Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Мая 1900 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.